

ZDİRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA



ROK II.

LUBLIN, 1 MARCA 1946 R.

Nr 5

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

W Y R O K

I.

Na małej stacyjce Süderode konwojenci z sonderdienstu wysadzili dwudziestu dwóch robotników rolnych połączonych na ulicach różnych miast General-Gouvernement. Tu siedzieli koło trzech godzin pod okiem żandarmów i dostali po pół litra czarnej kawy. Dopiero o dziewiątej przyjechał na motocyklu jakiś urzędnik z opaską Arbeitsamtu, przeprowadzono ich na drugą stronę stacyjnych zabudowań, gdzie czekali już w dużej grupiebauerowie. Ustawiono przywieszonych w jeden rząd, urzędnik wyczytał z listy gospodarza, przydzielił robotnika, wręczał mu dużą literę P na żółtej szmatce do naszywania na piersi i zapisywał jego dane osobiste.

— Martha Seidler — wyczytał urzędnik, gdy kolej przyszła na Andrzeja Walczaka. Z grupybauerów wysunęła się młoda Niemka.

— Nazwisko? — spytał Andrzeja po niemiecku urzędnik.

Tyle Andrzej rozumiał. Odpowiedział zlekka pochmurnie:

— Andrzej Walczak.

— Jak?

— Andrzej... An-drzej Wal-czak — rozszerzał sylaby swojego rodoznaku.

Urzędnik wsłuchiwał się pilnie i na znak bezradności pisał nad arkuszem w powietrzu nieartykułowane esy-floresy.

— Andreas — rzucił ktoś z grupy usłużnie.

Wtedy ołówek oparł się na papierze i zapisał na kolejnej pozycji, a w odpowiednich rubrykach wszystko, co arkusz Arbeitsamtu przewidywał: nr 11, Martha Seidler, wieś Süderode, przydzielono robotnika Andrzeja Walczaka lat 19, z Polski, wieś Radzinowice, powiat Puławy, General-Gouvernement.

Od tego momentu bezpośrednia opieka sonderdienstu i żandarmerii kończyła się, a robotnik przechodził pod rękę gospodarza.

Po tej czynności zebrani rozeszli się do domów.

Zagroda Marthy Seidler leżała od stacji w odległości około trzech kilometrów. Na sześćdziesięciu morgach brandenburskich oprócz gospodyni z czteroletnią córeczką był tylko ojciec siedemdziesięcioletni Otto i jedna dziewczka z Jugosławii. Nic dziwnego, że warsztat był źle obsługiwany, bo do ziemi dochodziły krowy, konie, drób i kilkanaście świń. Gospodarowano intensywnie, wprowadzano w czyn każdą radę kierowników agronomicznych, stosowano odręcznie każdą wskazówkę instytutów rolnych. Wielka Rzesza Niemiecka obok wojny militarnej prowadziła również wojnę gospodarczą i obie te wojny wygrać musiała.

Gospodyni Martha Seidler co tydzień odwiedzała powiatowy urząd pracy, składając zapotrzebowanie na trzy pary rąk roboczych, więc dopiero teraz po półrocznym oczekiwaniu dostała jednego parobka. Powiatowy Arbeitsamt był opieszły, niedłwie uprawiał sabotaż. Martha Seidler miała o nim niezbyt pochlebne zdanie.

Ten jeden chłopak było to bardzo mało w stosunku do jej potrzeb, ale i bardzo dużo. Ojciec bowiem, który ze względu na swoje lata winien już odpoczywać, reawansował znów na kierownika całego gospodarstwa, od kiedy Willi został zmobilizowany w roku 1938.

Andrzej już drugi dzień wzywał się w teren i w swoje obowiązki. Spał we własnym pokoiku przy oborze, jadł cztery razy dziennie w kuchni ze służącą z Jugosławii. Gospodarze prowadzili stół oddzielnie. Co

do tego czynniki decydujące wydały cały szereg surowych zarządzeń, prasa je w swój właściwy sobie sposób przypominała stale, radio w codziennych pogawędkach mówiło ustawicznie, że zakazuje się utrzymywania jakichkolwiek stosunków towarzyskich z Polakami, którzy w tej czy innej roli bawią w Niemczech. Stanowią oni zło konieczne, które jest podyktowane warunkami ciężkiej walki, jaką prowadzi naród niemiecki, i może nią być wytłumaczone. Po skończonej wojnie położony temu kres: krótko i szybko.

Andrzej Walczak pracował, ale wiedział, gdzie jest, u kogo jest i po co jest. Orientował się z grubsza w tych zmaganiach narodów, wiedział o tej brutalnej sile, która górowała nad nim i zmusiła do tej pracy. Łapanki na ulicy Puław, swojego powiatowego miasta, nie zapomni nigdy.

Owa świadomość swojej sytuacji kierowała jego wysiłkami mięśni i mózgu. Nic dziwnego, że mężowie stanu Rzeszy teutońskiej w swoich uroczystych mowach podkreślali bardzo często, że „wydajność pracy robotnika polskiego jest niesłychanie niska”. Ile w tym było słowiańskiego lenistwa, a ile ludzkiej złości woli walczącego z jarmem człowieka — któż odgadnie? Dusza ludzka jest jasna jak szkło i ciemna jak noc listopadowa.

W najważniejszych sprawach porozumiewali się słowami nierozumianymi wzajemnie, ale uzupełnianymi ruchami głowy, rąk, nóg, warg i całego ciała. Powstawały z tego nieraz zabawne historie, ale im więcej upłynęło czasu, tym zdarzeń owych było mniej. Jeszcze tam w domu w dziecinno-żartobliwych rozmowach postugiwali się strzępami zdań podchwyconych u żołnierzy niemieckich: jakże mu się obecnie te nieliczne wyrazy przydały!

Jak tylko wkroczyli z gospodynią za parkan obojczyca, rozpoczęła się dla Andrzeja Walczaka seria jego obowiązków. Obmył się, usuwając tłusty kurz z drogi, i dostał jeść. Po skończonym posiłku, chociaż czuł senność, wrzegli go od razu do roboty. Dostał drewniane trepy, drelichowy ubiór roboczy po Willim i musieli ze starym Otto wynosić nawóz z obór, stajni i chlewów.

Andrzej czuł dziwne otępienie. Przechodził łapanki, srogość konwoju strzelającego do skaczących z pociągu robotników, długa podróż w dusznych wagonach, brak snu i wody zmęczyły go znacznie, więc snuł się teraz po podwórku jak bez życia, a ręce jego wykonywały pracę bez widomej energii.

Stary, siedemdziesięcioletni Otto, który już zęby zjadł na gospodarowaniu i niejednego robotnika polskiego przez swoje ręce przepuścił, orzekł, że z tych wszystkich złych, jakich miał, ten był najgorszy. Niby na oko wyrosnięty, szeroki w plecach i muskularny, a jednak dziwnie powolny i niezgrabny. Stary Seidler przysięgał sobie, że albo zrobi z niego dzielnego robotnika, albo...

W tym miejscu zatrzymała się myśl starego, nie precyzując groźby.

Po kilku dniach, kiedy odespał stracone noce i zapomniał grozę ostatnich zdarzeń, poczuł się rzeświejszym i pewniejszym siebie. Poznawał otoczenie. Służąca z Jugosławii była tak smutna, małomówna i skryta, że słowa od niej nie mógł wydobyć, choć dość łatwo mogli z sobą się rozmówić. Po starym Otto i gospodyni wyczuł, jak im jest potrzebny, jak są uradowani, że go mają. Stwierdzenie tego faktu dało mu

poczucie własnej wagi i od razu spróbował walki z nimi.

Nadeszła niedziela. Od samego rana oprzątała z dziewczyną inwentarz. Świnie należały do niej, krowy i konie do niego. W godzinę skończył i szedł do swojego pokoiku myć się, kiedy stary Otto zagroził mu drogę w planetem w rękę, wskazując palcem na buraki.

Andrzej stanął przed nim, zrozumiał o co chodzi, potrząsnął głową.

— Dzisiaj jest niedziela. Dzisiaj się nie robi. U nas w Polsce ludzie idą do kościoła, mają wolne. Ja też nie będę robił... Morgen — ominął starego i spokojnie poszedł do swojego schronu.

Otto zaczął kłąć, straszyć coś arbeidsamtem, wyleciała gospodyni z domu na te krzyki i coś gwałtownie dokładała, ale Walczak dość obojętnie zniósł wszystko. Rozebrał się do pasa przy nich i rozpoczął mycie.

— Mam was, szwabę, gdzieś... — myślał mściwie, namydlając szyję — zbić mnie nie zbijecie. Najwyżej ucieknę gdzie indziej. Pal was diabli! Ja muszę się trochę sprostaować.

Po upływie pewnego czasu, ubrany w swój garnitur z domu, szedł drogą w stronę miasteczka.

* * *

Tego dnia jak zwykle o godzinie dziesiątej przyjechał pan Stabre z agencji pocztowej. Był to czterdziestopięcioletni Niemiec, rudy, zezowaty, z krzywą nogą. Te cechy uratowały go od obowiązku służby frontowej, ale półwojskowy mundur z dystynkcjami pocztowca pan Stabre nosił z dumą. Dawało mu to prawo myśleć i czuć się częścią wielkiej zwycięskiej armii niemieckiej.

Pan Stabre, stary wysłużony pocztowiec, pracy miał mnóstwo. Poczta polowa zarzucała go nawalą listów i kart, szły całe sterty paczek. Triumfująca armia zagarnęła pół Europy i członkowie jej szli swoimi najdroższym do domu wszystko to, w co dany teren obfitował. Szły więc daktyle z Trypolitanii, sardyńki i wino z Kalabrii, jedwab z Bayonny, szproty z Hammerfestu, masło z Polski, wena z Rostowa. Całe fury pak, paczuszek i paczek płynęły wielkim strumieniem przeładowanych kolei i rozchodziły się do rąk adresatów w takich właśnie punktach, jaki obsługiwał pan Stabre.

Dom Seidlerów był żywym domem. Dwóch braci gospodyni, dwóch szwagrów, stryj, trzech wujów i do niedawna mąż pamiętali o swoich, więc nie brakło fotografii, kart, listów i przesyłek. Ilekroć zatem pan Stabre przyjechał swoim trzykołowym pojazdem i wstępował po urządzenie, pani Seidlerowa dziękowała mu z wylaniem i przyjmowała przez pięć minut lampeczką winą w stołowym pokoju.

Pan Stabre zachwycony był gospodynią. Była tak młoda, tak piękna i świeża, że tracił głowę. Jej uprzejmość z tym kieliszkiem wina w domu czystym, porządnym działały na niego odurzająco. Jego bytność w jej domu była ustawicznymi zalotami. Zdarzało się, że zapatrzona w karty i fotografie pozwoliła mu się objąć delikatnie w pól. Czuł całą głąb szczęścia z tego niewinnego zbliżenia. Trwał jak porażony, cały przesycony wzmocnionym drżeniem ciała, które odczuwa rzecz kruchą i nietrwałą.

I tak było. Pani Martha jak gdyby się cuciła ze snu, kładła karty na stół, usuwa-

ła się spod jego ręki i z uśmiechem dziękowała drugi raz — musiał jechać dalej. Wstrząśnięty, głodny, szczęśliwy i rozczarowany.

Dziś była w domu, przesyłki przyjęła z tym samym wyrazem podziękowania w oczach, co zwykle, i nalala wina, ale nie czytała kart i stała odgradzona całą szerokością stołu, tak że nie mógł się do niej zbliżyć i o objęcie nie mogło być mowy. Chciał się przekonać, czy to był przypadek, czy celowe posunięcie z jej strony. Skierował się ku niej — szybko ale spokojnie znów się odgradziła stołem. Aha! — zrozumiał. Odjechał pełen żalu i zmartwienia.

Ach, ten Stabre! Drażnił ją i bawił, śmieszył i oburzał. I te jego zaloty doprawdy... Cóż to za mężczyzna? Parodia chyba mężczyzny? Co innego jej kochany Willi. Był tylko dziesięć lat od niej starszy i taki przystojny! Ona ma dwadzieścia trzy, a on miałby (czy ma?) trzydzieści trzy. Ogłądała dziś wszystkie jego zdjęcia. I cywilne sprzed wojny i wszystkie mundurowe. Ale cóż — fotografie dają tak mało!

Martha czuje dniami i nocami wielką tęsknotę fizyczną i duchową za Willim. Ostatni raz był na urlopie pięć miesięcy temu, kiedy przejeżdżał z Danii na front wschodni. Bawił zaledwie w domu siedem dni, które przepląkała ze szczęścia. A teraz co? Słuch o nim zaginął. Też doprawdy. Przeżył kampanię polską, francuską, był w Danii, a teraz właśnie... żyje czy zginął? Jest czy go nie ma? Zobaczymy go jeszcze czy nie?

Na ten właśnie czas duchowej rozterki trafia Stabre i nie może się poszczycić żadnym sukcesem. Martha żyje wspomnieniami męża, widokami jego podobizny, pamięcią jego miłości, a pan Stabre śmieszny i złości ją jednocześnie swoimi niedolęznymi zalotami.

Wychodzi z domu na podwórko. Dzień się zbliża ku południowi, trzeba sprawdzić robotników jak pracują, bo ojca tam nie ma, a oni umieją bez kontroli siać bezczynnie w bródzie i gadać o niczym. Dziewczyna też musi pomóc w zajęciach przy obiedzie. Szereg robót grubszych Martha zawsze na nią kładzie.

Jest ciepło. Koniec maja darzy ich upałami, choć przedwczoraj przeszła nad Süderode burza. Zielone pola okryły się pełnią rosnących plonów. Martha miją ogród pełen kwitnących drzew, gdzie miga między drzewami boguwoła — cytrynowa błyskawica na tle ciemnozielonej chmury sadu — i wychodzi na pole.

Robotnicy pracują. Ten nowy rozebrał się do pasa i schylony do przodu szura przed sobą rączki planetu ruchem równym, spokojnym i mocnym. Jego młode, delikatne, doskonale umięśnione ciało lśni w słońcu złotawo brązową opalenizną. Ani śladu potu na nim nie znać. Skóra jest sucha, gładka jak jedwab i tak naciągnięta na pracujących mięśniach, że nie ujrzysz nigdzie najmniejszej fałdki (a ona tak nienawidzi fałd na ludzkim ciele!). Andrzej jest starym podstrzyżony, włosy przyprasował siatką. Był świeżo ogolony. W oczodołach leżał granatowy cień od czarnych brwi, długich rzęs i lekkiego podsinienia dolnych powiek. Martha ocenia go spokojnie i czuje wzrastający w niej zachwyt: jakże jest śliczny. Co mówił urzędnik z arbeidsamtu, że jej przydzieli chłopca do pracy, kiedy to mężczyzna całą gębą? I wzrost, i głowa,

(ciąg dalszy na str. 2-iej)

WYROK

(dok. ze str. 1-ej)

i kark, i plecy, kiedy tak schylony od niej się oddala, są znamionami młodej żywiołowej siły.

Zagadała do niego. Nie zrozumiał, gdy pytała się, czy mu się chce pić, bo nie przewracając szurania narzędziem wruszył ramionami niecierpliwie. Był niegrzeczny i niedelikatny. To on jej nie zna. Martha musi spojrzeć mu w twarz i zobaczyć jego oczy. Więc natrętnie za nim idzie i woła to swoje zdanie poprzednie:

— Andreas, Andreas, willst du trinken? willst du trinken?

Nareszcie się zatrzymał. Stał jakby w wypadzie, lewą nogą wprzód, oparty o rączki planetu, odwrócił ku niej twarz przez lewe ramię i spojrzął. Aż zadrdzała — był zły jak pies. Przez czarną szparę rzęs zgnęły ją wściekłe szarzielone oczy, twarz miał skurczoną wrogo i podobną do drapeżnego ptaka.

— Nie będę pił, rozumiesz, niemro? — zasyzczał otwarcie, licząc na bezkarność obelgi wypływającej z różnic językowych.

— Willst du nicht trinken? — powtórzyła życzliwie.

— Idź do diabła ze swoim „trinkaniem“ — rzucił ordynarnie, tak że, choć nie rozumiała słów, odczuła jego wroga niechęć.

Więc go poniechała, tylko zabrała dziewczynę do obiadu i poszła.

Tego dnia miała jeszcze okazję obserwować go kilka razy i dziwiła się samej sobie, jak mało go znała, choć był tu już dwa tygodnie. Był zły, wyraźnie zły. Patrzył dziko na każdy drobiazg, trzaskał drzwiami. Kiedy był pewny, że nikt go nie widzi, uderzył psa, małego pokojowego ratlerka Zephira, i zdeptał buitem talerz stojący na podwórku.

Zdawało jej się, że chodzi dławiony jakąś pasją, jakąś siłą niszczącą i posępną. To go się bała i zachwycała nim jednocześnie — urzeczona jego pięknnością młodości i pociągająca odpornym stale nastawieniem.

Majowy dzień się skończył. Przedwieczorne ciepło jak miódowy plaster legło na ziemi. Czerwony brzezek słońca tkwił krótko nad brzegiem horyzontu i zniknął niespodziewanie, a po nim zostało białozłote pasmo zorzy, która ciemniała i wędrowała na północ.

Robotnicy przyszlzy z pola. Stary Otto z Andrzejem kosili rów drenarski na zieloną paszę dla bydła. Kobiety przerywały mak. Martha przygotowywała wieczernię i raz wraz rzuciła oknem na podwórko, gdzie trwał ruch przy końcowym obrzędku.

Potem cały świat omroczył, kolacja minęła i na zagrodę spadła cisza. Każdy rzucił się spać. Martha uśpiła córkę i oparła się na otwartym oknie, patrząc w ogród. Ale tam się nic nie działo. Wonna cisza spala pod zasłuchanymi drzewami. Było bezbrzeżnie pusto i smutno.

Martha wspomniła męża, Strabego, tego nowego robotnika Andreasa i dając dowód skłócenia uczuć — rozplakała się cicho.

Z biegiem czasu Andrzej poznał wszystkich Polaków, jacy pracowali po okolicznych dworach i gospodarstwach, fabrykach i warształach. Spotykali się w miasteczku co niedziela i opowiadali sobie wzajemnie, kto skąd jest, co zarabia, jakich ma gospodarzy, co je i gdzie mieszka. Oddzielenie od rodzinnych siedzib wpłynęło na nich zbliżając. Czy ktoś był spod Lwowa czy Gdyni, Częstochowy lub Poznania, jeśli tylko mówił tym samym językiem, już przez to stawał się bliskim, z którym można było porozmawiać o tych wszystkich bolączkach, dolegliwościach i tragediach, jakie wszyscy przeżywali.

Kościół katolicki nie było. Więc zbiegali się grupami, udekorowani żółtymi centkami z literą P na piersiach, spacerowali na mieście obserwowani przez żandarmów, tajemnymi drogami kupowali od niemieckich piekarzy bułki, szły do miasta, kładli się na trawie, jedli pieczywo, śpiewali czasem i grali na organkach, bo organki były bardzo tanie.

— Co jak co, ale na organki to zarobimy, nie? — żartowali.

— U nich organków, jak u nas psów — pogłębiali żart.

(dokończenie nastąpi).

JULIUSZ KLEINER

Z DZIEJÓW KSZTAŁTOWANIA „DZIADÓW“ CZĘŚCI TRZECIEJ *)

Rok 1831, rok tragicznej nieobecności w czasie walki narodowej, po wstrząsaniach i po wrażeniach różnorodnych kończył się wśród stanu obniżenia duchowego, wśród uśpienia energii twórczej, wśród osłabnięcia treści istotnych, płodnych życia.

Ale właśnie w czasie tej wegetacji i tego dojrzewania nowych, nie uświadomionych jeszcze złożych duchowych doszedł do Mickiewicza głos wezwania i głos ufności ogromnej, który może zaważył niemal na ich krystalizacji. Był to głos przyjaciela czasów filomackich i czasów rosyjskich, serdecznego i dyskretnego powiernika myśli i uczuć i planów i niewątpliwie druha na szlakach przełomu religijnego, co na Krymie się jeszcze począł i co w ideach Oleszkiewicza — zmarłego w półtora roku po wyjeździe poety — miał pokarm.

Z początkiem roku 1832 otrzymał poeta list z Petersburga od Franciszka Malewskiego, pisany dnia 14/26 grudnia — w bólu klęsk i nieszczęść narodowych i w przedziwnym natchnieniu wiary.

„Ty dziś jedyna dla mnie kotwica, Adamie“ — pisał przyjaciel - filomata. — „Ty tylko podobno zachowałeś w tym rozbiciu hasło, na które rozbit ostatnich sił dobiedzie, to jest na wiarę w Opatrzność, na tę gwiazdę, która jedna zwyciężąc ze zwyciężonym i po długich zapasach uczy tak nawzajem poznawać plemiona i narody, jak nieszczęście uczy w naszym blahym pożyciu poznawać ludzi. Wiara twoja uzdrowi cię!). Jakże to wielkie słowo! Nigdy nie czuli ich mocy tak jak teraz, bom się zawsze wzdragał od wierzenia, aby nieszczęścia ludzkie były środkiem wybranym przez Opatrzność do nauczenia, jak bez granic wierzyć w nią trzeba.

Mówiłeś mi niegdyś, że chcesz napisać chrześcijańskie poema; pisz je teraz, gdyż polska rewolucja, zdaje mi się, była ostatnią okupicielką błędów politycznych człowieka. Już odtąd człowiek powinien inaczej pojmować swój byt na ziemi: — wierzyć, że jego siła nie jest siłą boską, która by w każdej chwili poruszona wydawała gromy i zmieniała postać rzeczy na świecie... Zwróć myśli ludzkie raz jeszcze ku tej skale, której bramy ludzkie nie przemogą. Na zgłiszczu ostatniej, jak mi się zdaje, europejskiej rewolucji zanuć pieśń przyszłego religijnego życia, jaką Bóg dał tobie, swemu wybrańcowi“ ²⁾).

Pod znakiem listu tego zaczynał się rok 1832 — rok „Dziadów części trzeciej“.

Słowo jest czynu testamentem. Czego nie można czynem dokonać, to się testuje w słowie. Nigdy chyba owo Norwidowe pojęcie słowa tak się nie zrealizowało, jak w drezeńskim trudzie twórczym Mickiewicza.

Nie zwykłe tylko pragnienie czynu dynamikę prometeuszową dało jego twórczości, lecz żądza cudu. Katastrofą narodową rażony tym straszliwiej, iż do końca zdała stał od walki, od dzielenia ciężaru odpowiedzialności — przełamuje w sobie izolację duchową, którą w nim wytworzył i okres rosyjski, i okres rzymski, odsuwając go od normalnego współzycia ze zbiorowością własną i każąc nawet zagadnienia bytu narodowego przeżywać jako osobiste Wallenrodowe problemy. Wraca w duszę i potęguje się do rozmiarów niebywałych jedność duchowa z narodem — i wraca dążność Wallenroda, by zastąpić naród, któremu odebrano możliwość działania. Tylko teraz, po roku 1831, nie będzie to jedynie wywyższenie tragiczne nad ogół, ale i tragiczne upokorzenie się przed prawdą, którą ogół ukazał czynem i krwią. I nie będzie to szukanie realnej, praktycznej drogi, chociażby tak strasznej jak droga mistrza krzyżackiego — będzie to w chwili najgorszego, gorszego od grozy rozbiórów, nieszczęścia narodowego — rwanie się ku mocy cudu.

Takie wołanie o cud napędza niekiedy dusze przy łożu konających osób drogich,

1) Prawdopodobnie słowa te sparafrazowane z Ewangelii znajdowały się w liście Mickiewicza z dnia 4 listopada 1831 r., na który Malewski odpowiada — w liście niestety zaginionym.

2) List Malewskiego (znajdujący się w paryskim Muzeum Mickiewicza) ogłosił Stanisław Pigoń (Głosy sprzed wieku. 1924. str. 163—164).

a u człowieka religijnego i własną siłę czującego rozgorzeć może w wiarę, że zdoła on cud wymodlić czy wywalczyć, wyprosić — lub wydrzeć niebu. Z religijnością budzi się wtedy atawistyczna, pradawna idea mocy magicznej człowieka... Religia i mistyka karmią w Mickiewiczu żądzę cudu — i karmią pragnienie namiętne, by stać się tego cudu sprawcą.

Cud to zjawisko przełamujące normalne łańcuchy przyczynowe przez wmieszanie się czynników różnych niżeli te, co powodują zwykły tok zdarzeń. Romantyka od ludzi wieku oświecenia dzieliło odczuwanie i uznawanie cudu, a zarazem pozwalało mu ono czuć się kontynuatorem i realizatorem dążeń stulecia racjonalistów, bo przecież cud mógł sprowadzić przemianę świata, do której wiodł światłami Rozumu i Natury wiek osiemnasty. A zarazem jest cud właściwą formą działania się na terenie rzeczywistości religijnej.

Wśród wstrząsu narodowego i osobistego, doprowadzającego do napięć najwyższych wszelkie myśli, wszelkie władze, Mickiewiczu oczekiwaniu cudu wydaje się uzasadnione nawet doświadczeniem osobistym i narodowym. Walka bojowników wolności z caratem tchnie mu potęgą Ormuzdowych i Arymanowych zapasów. Tchnie dostojeństwem walk prześladowanego chrześcijaństwa, świętością i dziwnością legend dawnych. Życie własne, życie poety władającego słowem, ulegającego pokusom i w Odessie, i w Pozańskim, lecz gruntującego w sobie wiarę właśnie wtedy, gdy wymaga jej ratunek ojczyzny — kształtuje się w obraz walki dobrych i złych potęg o duszę jednostki powołanej do wielkiego zadania, w dzieje przemian i upadków i wzlotów wielkiego grzesznika i zarazem wielkiego wybrańca.

Ale zanim żądanie cudu przeszło w wiarę uspokajającą, było wprawdzie krzykiem rozpacz, protestu przeciw rzeczywistości ohydnej, buntu przeciw porządkowi świata, co takie krzywy narodów dopuszcza, było bluźnierczym podnoszeniem ramion przeciw Bogu, który winien by przełamać zło gnębiące. Raz jeszcze, i w spotęgowanej wielokrotnie sile, stał się dla Mickiewicza wyrazem jego postawy osobistej — byronowski bunt rozpaczliwy. I tym się może tłumaczy nawrót do Byrona, do przekładu „Giaura“, gdy znowu przypląwała fala energii twórczej.

Ale duchowa ewolucja lat ostatnich nie pozwoliła trwać buntowi. I nie pozwoliła trwać buntowniczej dumie autokrytyka, sięgająca w najistotniejsze głębie własnego życia, a związana nie tyle z przemyśleniami ile z naporem dziejowej, narodowej rzeczywistości.

Oto człowiek wybrany, wieszcz - przewodnik, okazał się niższym od narodu. Oto przyszła chwila, w której czyn narodu olśnił go i zgnębił rewelacją prawdy — jemu samemu dotąd nieznannej. A więc prawdy nie przynosi jednostka wyjątkowa; prawdę ma w swym duchu najlepsza część ogółu.

Nie było to nowym zupełnie poglądem dla twórcy „Dziadów części drugiej“, który ludowi przyznawał posiadanie „prawdy żywych“. Nie było też gwałtownym przełamaniem linii rozwojowej lat ostatnich, skoro przełom religijny wiodł ku stwierdzeniu ponadindywidualnych źródeł wiedzy. Lamennais, bliski poecie dzięki ks. Choloniowskiemu, kryteriów szukał w rozumie zbiorowym; jednostce kazał tylko przyjmować i przechowywać i przekazywać poznanie trwające w zbiorowości. Ogół narodu, przynajmniej w swej części najlepszej, najbardziej świadomej, otrzymywał tedy rolę owego zbiorowego skarbcza. Tylko gdy Lamennais przede wszystkim wartości poznawcze, dogmaty wiary miał w myśli, Mickiewiczu chodziło o wskazania praktyczne, etyczne; gdy Lamennais pozostawał racjonalistą i ów *communis consensus* (zgoda ogólna na prawdę) był dla niego ponadindywidualnym autorytatywnym rozumem, Mickiewicz wchodził raczej na drogę poddania się irracjonalnym walorom wiary z tradycji.

Przełamywał dumny indywidualizm Wallenrodowy i Farysowski. Ugiął czoło dumne. Jeśli na terenie rzeczywistości narodowej wiodł ku temu moment historyczny, to w dziedzinie przeżyć osobistych czytnił to już od dłuższego czasu przełom religijny. Naśladowanie Chrystusa, tak wyraźnie przyświecające liryce rzymskiej, zmuszało do poddania się wyższej mocy. Poczucie grzechu, rozżarzone w r. 1831, łączyło się z szukaniem jego korzeni w czynniku, który szczególnie potęgowała myśl chrześcijańska — w pysze. Ideał pokory płynął i z chrystianizmu, i z mistyki, której tchnienie coraz potęgowało w psychice poety.

Nie wiadomo, jakie były drogi szamotofań się i buntów i załamania, co poetyckie przetworzenie zdobyły w Improwizacji. To tylko wiadomo, że z męczarni i upadków zajaśniała nowa prawda: sprawcą lub choćby zwiastunem cudu można być tylko za cenę przemiany wewnętrznej i ofiary i pokory.

Ukorzenie się przed Bogiem i przed narodem zakończyło fazę Konradowego byronizmu, Konradowego tytanizmu.

*) Fragment z drugiego tomu monografii o Mickiewiczu wykończony przez autora podczas wojny.

BOGDAN KAMODZIŃSKI

W KĄCIE ZAPADŁYM

Spiwiają wioski melodyjne,
Stoją płotami i malwami,
Chmury kreślone mają linie
Przez inżynierów pod gwiazdami.

W zmierzch parasolem wpał się kościół

W chmury wysokie i pasiaste,
W zmierzch się nad księżyc kościół
wznosił
Parasolowym dachu wjazdem.

Uplywa wsiami młodość, starość,
Tysiąc zielonych lat narosło —
Życie tam może zielem zarósć,
Aby nie było tak wyniośle.

Dziwne bagienka nęca, świeca,
Diabły tam w nocy rżą i chodzą,
Tam na mokradłach wieje przeciąg,
Nad wodą ciągnie i po wodzie.

Rankiem się konie w mgły wpinają,
Na niebie bladym sierpem błyszczą,
Tam bzy się pienią w białym maju
I ptaki nuca uroczyscie.

Tam jest zapadłe, romantycznie,
Świat zagrodzony, żytni, chlebny,
Tam ptaki w bzach z radości krzyczą
I kościół wieżdza na podniebie.



Henryk Kuna

Adam Mickiewicz

WŁADYSŁAW PAWŁOWSKI

O zapomnianym chłopie — poecie Jantku z Bugaja

Dnia 11 marca 1944 zmarł we wsi Paszkówce w pow. wadowickim Jantek z Bugaja.

Grono przyjaciół i ziomek Jantka doprowadziło w mroźny poranek marcowy zwłokę jego na cmentarz parafialny w Pobiedrze, gdzie pod upatrzoną przez niego za życia brzozą na sen wieczny go złożono. Spoczął wśród braci — chłopów, których żałował, że tak przedwcześnie schodzą z tego świata, niedożywieni, dzieśiątkowani chorobami, że to ich młode, przeżnięte życie cmentarz tak wcześnie tłum.

Życie i twórczość Jantka z Bugaja, bo tak go zwano powszechnie, związane są ściśle z jego gniazdem rodzinnym i okolica, z której czerpał natchnienie do swego literackiego tworzywa.

Przysiółek wsi Benczyna — Bugaj, gdzie się urodził Jantek, był w dawnych czasach miejscem bogom słowiańskim poświęconym, jak głosi podanie ludowe.

Ziemia wydarta lasom nie jest w tych stronach bardzo urodzajna. Aby z niej coś wydobyć, trzeba się mocno napracować.

Ciężkie też było życie Jantka. Przeszło dwa kilometry musiał Jantek chodzić codziennie do szkoły parafialnej w Pobiedrze. Przez cały czas nauki szkolnej zaciekał nauzczyli swoim zachowaniem, przez które wyodrębnił się od reszty rówieśników. Zamknięty w sobie, małomówny, stronił od zabaw i rozrywek dziecińczych. Pasją jego było drukowane słowo bez względu na to, co w swej treści kryło. Uczył się niezwykle pilnie i był gardzo uzdolnionym uczniem. Szybko też przyswoił sobie sztukę czytania i pisania. Wytrzymał na wszelki ból, nigdy na nic nie narzekał, a zapytany, czy mu coś nie dolega, zawsze dawał odpowiedź przeczącą.

Zamiłowania artystyczne zaczęły się w nim ujawniać bardzo wcześnie. Jako mały chłopiec lepił z błota i gliny różne budowle, przeważnie kościoły, kreślił z bzu fujarki i wygrywał na nich swojskie melodie. Gdy najstarszy brat, Franciszek, zrobił mu pierwsze skrzypce, Jantek dobrał struny i zaprawiał się na nich w sztuce muzycznej. Skoro podrósł, za pierwsze pieniądze zarobione w lesie przy pracy kupił sobie już lepsze skrzypce wraz ze szkołą na skrzypce. Od tej chwili pochłonięta Jantka muzyka. Uczył się sam teorię i starał się ją realizować praktycznie. Kilka razy odwiedził mieszkającego w sąsiedniej wiosce, w Przytkowicach, uzdolnionego samouka — muzyka niejakiego Krzysia, który mu coś niecoś z tej sztuki wyjaśnił i pokazał praktycznie. Chodził również do Kalwarii, gdzie przebywał emerytowany wachmistrz orkiestry austriackiej p. Gasiński, który lubił rozmawiać na tematy muzyczne z młodym entuzjastą. W 16 roku życia spotkało Jantka nie lada wyróżnienie. Miejscowy muzykant-samouk Dyręga z Paszkówki zaangażował Jantka do wiejskiej kapeli, której przewodził, jako drugiego skrzypka, zwanego na wsi sekundzistą. Za dwa dni gry na weselu zapłacił Jantkowi, jako przyjmiantowi, 5 groszy austriackich. W niespełna rok uczeń przerósł mistrza Dyręgę i grywał już na równych z nim prawach pierwsze skrzypce na wiejskich weselach. Z czasem nauczył się również od swoich kolegów grać na flecie, który to instrument bardzo polubił. W piękne wieczory letnie siadał na ganku swego domostwa i wygrywał na flecie rzewne i skoczne melodie, a echo je niesło po lesie i całym Bugaju.

Poza muzyką, namiętnością Jantka była gazeta i książka. Tak się złożyło, że w czasie młodości Jantka pracował w majątku Wężyków w Paszkówce niejaką Sroka, wyznania ewangelickiego, który tam spełniał funkcje zarządcy. Z owym Sroka wiąże się jeden z przełomowych momentów życia Jantka, dzięki bowiem niemu talent Jantka został wprowadzony na szersze wody. Ów Sroka był chłopem rozumnym i tę gim gospodarzem. Posiadał własną bibliotekę, z której wypożyczał chłopom na wies książki. Korzystał z tego Jantek wraz z bratem Franciszkiem i czytywał książki ze zbioru Sroki.

Miał p. Sroka córkę, która uczęszczała na kursy Baranowskiego w Krakowie, gdzie uczył Lucjan Rydel. Przylapał ją

razu pewnego w szkole na gorącym uczynku, jak coś tam pod ławką na godzinie czytała. Okazało się, że były to właśnie poezje Jantka, które jej ojciec przesłał w liście. Od tego momentu Rydel zaczął się interesować twórczością Jantka.

Pod wpływem czytanych poezji, które przekładał nad inne książki, zaczął Jantek jeszcze jako młody chłopiec pisać rymami dla rówieśników różne powinszowania i okolicznościowe wiersze. Granie i pisanie stało się tedy potrzebą Jantkowego życia. Jak buchające źródło musi odprowadzić swoje wody w koryto rzeczki, tak i talent Jantka musiał znaleźć swoje ujście. Sploty wydarzeń i różne okoliczności życiowe związały go z ludźmi, którzy nieuczonemu chłopcu pomogli do ujawnienia tego z bożej łaski talentu.

W okresie młodości Jantka rozwijał swoją działalność polityczną ks. Stojałowski. Jego „Wieniec i Pszczółka“ docierały do każdej wsi i uświadamiała wieś pod względem polityczno-społecznym. Poruszone tam problemy wyostrzyły spojrzenie Jantka na życie wsi i jego przejawy. Zaczął więc o nich pisać ks. Stojałowskiemu, który chętnie jego uwagi zamieszczał.

Głęboki znawca duszy ludzkiej wyczul w Jantku iskrę bożą i wielce się nim zainteresował. Inspirował Jantka, podsuwał mu tematy, a w końcu nawiązał z Jantkiem osobistą znajomość i zaczął bywać u niego w Benczynie. Pisał więc Jantek coraz więcej, a że z wierszami szło gładko, ani się spostrzegł, jak poczęła pęcznić jego teczk-

IRENA GUMOWSKA

OSTATNI SŁAWNI POLACY — GDAŃSZCZANIE

(O Janie Heweliuszu i Jeremiaszu Falcku)

Studia astronomiczne, budowa obserwatorium, wydawanie ilustrowanych dzieł i cała jego praca naukowa pochłaniały ogromne sumy. Heweliusz był zamożny: posiadał własne browary i 7 domów odziedziczonych po rodzicach. Prowadzeniem tego zajmowała się, dzielnie dając sobie radę, jego żona. Heweliusz pracował również w Zarządzie Miejskim, będąc sędzią miejskim, w końcu prezydentem. Przez 36 lat z tego tytułu pobierał pensję roczną 500 talarów. Jan III szedł mu zawsze bardzo na rękę: oprócz pensji, którą mu wyznaczył, zwolnił go dekretem z dnia 3.XII. 1677 r. z wszelkich podatków płaconych z browarów i zezwolił na sprzedaż piwa wszędzie.

Największą, istotnie królewską przysługę, oddał mu w r. 1679, kiedy straszny pożar strawił w ciągu jednej nocy cały dobytek Heweliusza, obserwatorium wraz z domami, wszystkimi przyrządami, bibliotekę, drukarnię, warsztat rytowniczy i cały zapas dzieł, które miał na składzie. Król Sobieski, współczując ogromnie uczoneму, udzielił mu subwencji na odbudowę. Jednak sędziwy Heweliusz niedługo już cieszył się nowym obserwatorium. Umarł w roku 1687 w 76-tą rocznicę swych urodzin.

Wdowie kontynuującej prace po mężu król nakazuje w dalszym ciągu przysyłać po 1000 talarów rocznie. Zakończywszy po 3 latach pracy dzieło męża, dedykuje je królowi — tym bardziej, że jest w nim opis odkrytego przez Heweliusza nieznanego dotąd gwiazdozbioru, oznaczonego przez astronoma mianem „Tarczy Sobieskiego“. Nazwa ta po dziś dzień obowiązuje. Siedem jasnych gwiazd, widocznych gołym okiem w tym gwiazdozbiornie, oznacza 7 członków rodziny królewskiej.

Plon pracy Heweliusza był ogromny. 29 dzieł naukowych, 2000 obserwacji księżyca, 2500 Jowisza, obserwacje 11 obiegow Marsa, 2000 dostrzeżeń Wenus, 1100 Merkurego i około 7000 pomiarów pozycji gwiazd stałych na niebie i wiele jeszcze dostrzeżeń komet, zaćmień i t. d. Do odkryć nowych należy oprócz kilku komet, tarczy Sobieskiego i libracji księżyca, pomiar rotacji słońca. 16 lat pracował, aby wydać „catalogus stellarum fixarum“ opisując w nim 1888 gwiazd. 938 odkrytych przez siebie gwiazd przyłączył albo do znanych gwiazdozbiornów, albo też do nowych, stworzonych przez siebie, 12 konstelacji.

„Piosnki z naszej wioski“, poświęcone M. Konopnickiej, i ostatni najbardziej wartościowy tomik poezji p. t. „Z łąk i pól“ z przedmową Wł. Tetmajera.

Poza tymi wydawnictwami redagował Jantek i zapisał swymi utworami humorystyczno-satycznymi dodatek do „Wieńca i Pszczółki“ p. t. „Cepy“ oraz niektóre pisma humorystyczne, jak „Figlarz“. Był również dobrze znany Polonii amerykańskiej. Przez 10 lat zapisał swymi wierszami łamy tamtejszych dzienników. Najwięcej drukował w „Dzienniku Chicagowskim“, którego był stałym korespondentem.

Był chłopem ciałem i duszą. Gdy odwiedził córkę swoją Zofię w mieście, twierdził, że nigdy nie mógłby tu mieszkać. Brak mu tam było oddechu.

Głęboko przeżywał wszystkie przejawy życia, smutne i radosne. Szczególnie ciężko odczuwał wydarzenia obecnej wojny. Wyglądał z utęsknieniem jej końca, którego nie doczekał się. Zachorował na raka wątroby i opuścił w marcową noc ten świat, nie doczekawszy wiosny.

Niedoceniono go za życia. Nie zajął się nim Polska Akademia Literatury, nie podkreślił jego dużych zasług wobec społeczeństwa żaden rząd polski — choć byli przy władzy i chłopi — nawet symbolicznym krzyżem zasługi!

Antoni Kucharczyk, bo tak brzmiało jego nazwisko, urodził się w Benczynie dnia 2.VIII.1874 r., zmarł w Paszkówce dnia 11.III.1944 r.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Jan Heweliusz rozślawiał imię polskie po całym wówczas świecie swoimi pracami z dziedziny astronomii oraz zachwycał znawców sztuki swymi mistrzowskimi miedziorytami, inny gdańszczanin

JEREMIASZ FALCK

ugruntowywał sławę Polski, jako najwybitniejszy w owym czasie artysta sztuki rytowniczej, genialny sztycharz. Ażeby nie było wątpliwości co do jego pochodzenia i przynależności narodowej pod prawie wszystkimi swoimi pracami podpisywał się „Falck Polonus“.

Ponieważ wiek XVII i połowa XVIII to lata gorącej przyjaźni Gdańska z Niderlandami, przyjaźni traktowanej po kupiecku, bo opartej na żywych stosunkach handlowych, a więc i sztuka ówczesna Gdańska nosi wyraźne cechy wpływów holenderskich. Uwidacznia się to dobitnie w architekturze, słynnych gdańskich meblach, ciężkich a bogatych; w nie mniej słynnej ceramice i metaloplastyce. Nie pozostało i malarstwo, i rzeźba, i grafika bez tego wpływu. Lecz nawet oko laika potrafi odróżnić sztukę gdańską od sztuki holenderskiej. Jest w niej wybitne piętno polskości, rzucające się wprost w oczy. Ta polskość najwyraźniej objawia się w temacie. Polskie orły, herby, wizerunki królów i t. p. zdobią każdą rzecz ówczesnej sztuki. Jest poza tym jakaś nieuchwytna miękkość, sentyment słowiański, uczuciowość postawy wewnętrznej autora. I to właśnie specjalnie charakteryzuje prace Falcka. Czy to będą miedzioryty, przedstawiające rodzinę królewską, robione podczas jego pobytu w Paryżu, czy też liczne portrety robione w Sztokholmie, gdzie portretował również królową Krystynę, czy też znakomite podobizny wielmożców polskich, sztychy o najwyższej klasie artystycznej, (wspaniały portret Władysława IV), wszędzie uderza miękkość linii, subtelność wykonania i przedziwny talent podchwycenia w osobach portretowanych ich wewnętrznej treści, ich charakteru.

Wzywany przez różne dwory całej Europy do portretowania królów i ich rodzin, większość życia spędził zagranicą. Sporo prac wykonywał w Hamburgu, Amsterdamie, Kopenhadze i w wielu innych większych miastach Europy. Jednak pod koniec życia, stęskniony za rodzinnym mia-

(ciąg dalszy na str. 4-ej)

JULIUSZ KURZĄTKOWSKI

FELIKS ARASZKIEWICZ

Gawęda o plastyce

Malarstwem współczesnym nazywamy wszystkie dzieła plastyki powstające obecnie, w odróżnieniu od plastyki należącej już do historii. Ścisłej granicy oczywiście przeprowadzić nie można, gdyż doktryny estetyczne z trudem wywalczają sobie prawo bytu, ale też niechętnie ustępują nowym hasłom. Zasadniczo plastykę i rzeźbę ery chrześcijańskiej można podzielić na nienaturalistyczną i naturalistyczną. Styl starochrześcijański, romański i częściowo gotycki będzie nienaturalistyczny to jest nie oparty na ścisłych studiach ciała ludzkiego i twórców przyrody i dlatego wybitne jego cechy to dekoracyjność i stylizacja kształtów. I jeszcze jedna ważna cecha: sztuka służy idei chrześcijańskiej, ideę tę szerzy wśród ludzi naiwnych, pierwotnych, barbarzyńskich. Mistrzowie sztuk plastycznych pochodzą z tejże społeczności, posiadają ten sam stopień rozwoju umysłowego, stąd w dziełach swoich wyrażają pojęcia chrześcijaństwa zawarte w przypowieściach, a przede wszystkim w Sta-

rym Testamencie i Ewangelii, przedstawiają je naiwnie, obrazowo, tak, jak to widzimy w sztuce ludzi pierwotnych, nam współczesnych, jak sztuka murzyńska lub sztuka ludowa (cykl Janosika, obrazy, religijne, cięte w drzewie lub malowane na szkło). Począwszy od renesansu aż po wiek dwudziesty artyści są pod przemożnym wpływem sztuki klasycznej z jej hołdowaniem doczesności, z uwielbieniem dla piękna natury ucieleśnionej w studiach nagiego ciała ludzkiego.

Artyści od czasu renesansu dążą do doskonałości przez pilne studiowanie modelu, wzorując się na muzealnych okazach sztuki rzymskiej i greckiej, stąd tematyka albo mitologiczna, albo obraz religijny ujęty klasycznie.

W miarę postępu czasu obraz religijny ustępuje powoli miejsca mitologii, później obrazom dworskim, mieszczańskim, ludowym, wreszcie burżuazyjnym (wiek XIX — rozwój miast).

Na kierunku estetyczne malarstwa wywierają wpływ stosunki polityczne, gospodarcze, a wreszcie postęp wiedzy: wynalazki, badania światła, nauki historyczne, badania sztuki ludowej, sztuka ludów azjatyckich, inków, murzynów i t. d.

Zdobyte optyki skierowały uwagę artystów na studia w słońcu (plener) i stworzyły impresjonizm i poszukiwania czysto malarskie, zupełnie odrzucające naturalistyczną zgodność z oglądanym światem, odrzucające linearny rysunek obrazu, który dotychczas był pierwszą fazą tworzenia obrazu (Cezan), wreszcie idą dalej i za hasło jedyne głoszą deformację kształtu (kubiści, futuryści) t. zn., że obraz musi być inny niż natura. Natura jest piękna sama w sobie, obraz zaś nie jest naturą i powinien być czymś zupełnie nowym (formiści).

To rewelacyjne pojmowanie spotyka się z silnym sprzeciwem malarzy konserwatywnych, którzy mają większość wśród konsumentów sztuki: walka trwa nadal i dzisiaj.

W łonie walczących powstają nowe obozy — to passeiści, którzy wychowani na historii malarstwa, na badaniach sztuki klasycznej, średniowiecznej, renesansowej, baroku, rokoka — przejmują się doktrynami historycznymi, wracają do nich (Szkola Słędzińskiego, Pruszkowskiego, Kulisiewicza).

Jeżeli od renesansu kwestia wzorowo rysowanej perspektywy była niezaprzeczonym kanonem, święcącym triumfy w renesansie i baroku, to w XX wieku nowatorzy w myśl hasła anaturalistycznych, odrzucają ją, lekceważą, nie uczą się jej, jak również nie uczą się w ogóle rysunku, a przystępują od razu do kompozycji. We współczesnym malarstwie spotkamy wpływy rysunków dziecięcych (dadaizm), jest on wynikiem naukowych badań nad psychologią rysunku dziecięcego.

Pozornie wydaje się może czytelnikowi, że w tym stanie rzeczy przekraczanie progów wystawy jest jednoznaczne z wejściem do ciemnej dżungli, skąd człowiek, oszołomiony chaosem bujnej roślinności i światła, zmuszony jest uciekać.

Tak jednak nie jest. To właśnie dowodzi niezmiernego bogactwa, niewyczerpanych skarbów wrzuseń plastycznych, które należy eksploatować umiejętnie.

Należy ze specjalnym nastawieniem podchodzić do każdego malarza, a później do każdego nawet płótna. Każdy bowiem malarz jest odrębną indywidualnością i do tego ulegającą ciągłej ewolucji, zadaniem więc widza jest poznanie tego człowieka jako malarza i stwierdzenie jego oryginalności i uczciwego pojmowania jego zadania.

JERZY JESIONOWSKI

BRZASK JESIENIA

*Już dzień się z lasu wylewa — powieje niebo ciężkie szare,
gaśnie noc — sen z głów paruje — dudnią kroki czyjeś przed sienią.
Mgła pachnie surowo i ostro.*

*W topolach wrony żalobnie kraczą melodię jesieni.
Oczy długo jeszcze pięściami trzeć trzeba. Powieki snem ociążały.
Trzepoczą pod dachem zbudzone gołębie.
Z pól pustych i zjesienniałych świt mgłę pasami zdziera,
dzień się nad lasem wybiela i kłębi.*

Nie powtórzyła się historia z Odrowążem

Drugi tom „Materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944“, traktujący o walce z Niemcami, zawiera układ jeszcze bardziej urozmaicony, niż tom pierwszy, który wyszedł jesienią ubiegłego roku p. t. „Terror Niemiecki w Zamojszczyźnie“.

Wprawdzie i tam już znajdowała się niejako zapowiedź walki w postaci strzępów pamiętnika w notatniku młodocianego partyzanta, poległego na posterunku w lesie zamojskim z modlitwą na ustach o ratunek boski przed zagładą niemiecką, ale dopiero tom drugi, który pojawił się w grudniu 1945 r., w całej pełni ilustruje poszczególne stadia narastającej ze strony polskiej akcji oporu moralnego i zbrojnego.

Taki układ materiałów w obydwu tomach znajduje całkowite usprawiedliwienie w faktycznym stanie rzeczy, które się działy. Terror i opór działały jednocześnie i stale, tylko linie rozwojowe tych przeciwnych akcji, ząbując się o siebie, uzyskiwały inny kierunek wzrostu. Z początku mamy wysoki rozmach niemiecki, a słaby, zaledwie w duszach potajemnie żyjący, opór nieorganizowany, jakby oniemiałe wskutek katastrofy przegranej kampanii wrześniowej, a potem stwierdzamy wzmagający się opór, coraz mocniejszy, szerszy, głębszy ze strony polskiej, zygawkowata zaś linia postępowania niemieckiego, zakończona wreszcie spadkiem zupełnym, katastrofą.

Redaktor „Materiałów“ dr Zygmunt Klukowski wykazał w tej kompozycji wydawnictwa głębokie wycucie istoty zjawiska historycznego oraz wysoką znajomość naukowych założeń edytorskich. W jaki sposób redaktor zdobył właśnie takie materiały, które można było w ten sposób ułożyć, to już należy do jego tajemnicy osobistej. Przypuszczam, że komukolwiek innemu, mniej wrośniętemu w środowisko Zamojszczyzny, spełnienie tak ambitnego i pracowitego zamiaru nie udało się zupełnie, bo sprawa najwyraźniej opiera się na zaufaniu autorów wspomnień, artykułów i notat uczestników walki podziemnej do osoby działacza-redaktora.

Kontakt dr. Klukowskiego z przedstawicielami różnych sfer, warstw i kierunków akcji oporu sprawił to, że w drugim tomie „Materiałów“ mamy charakterystyczny pamiętnik starosty zamojskiego z września 1939 r., obrazujący rozkład sił polskich w tym ciężkim czasie; kontakt ze sferami intelektualnymi sprawił, że znajdują się tu bardzo cenne wiadomości o peregrynacji i losach „Hołdu pruskiego“ Matejki; kontakt z młodzieżą sprawił, że mamy tu niezwykle interesujący opis „Losu młodzieży polskiej w czasie okupacji niemieckiej“.

Stosunki z ludźmi pracującymi w prasie podziemnej umożliwiły znalezienie się tutaj sprawozdania kurierki; stosunki ze środowiskami w okolicy Zamościa umożliwiły podmalowanie szerokiego tła akcji niemieckiej wobec ludności polskiej i żydowskiej w Zwierzyńcu.

Zakusy wroga, dążące do deprawacji moralnej przez wciąganie słabych na listę zaprzalców narodowych, znalazły wyraz w pracy Stefana Milera p. t. „W jaki sposób nie zostałem volksdeutschem“, gdzie autor dokładnie przedstawia wyjątkową sytuację w tej sprawie w Zamojszczyźnie.

Nie bez znaczenia są także informacje o życiu gospodarczym, które przecież i przy Niemcach funkcjonowało, a w którym Polacy Zamojszczyzny usiłowali dokonać prac potrzebnych dla dobra ludności.

Druga część drugiego tomu, poczynając od opowiadania Żadory p. t. „Pierwsze kroki dywersji“, a kończąc na obszernym pamiętniku st. strzelca Marka p. t. „Z wrażeń i przeżyć szeregowca partyzanta w lasach biłgorajskich“, jest wszechstronnie obrazującym materiałem rosnącej na sile, coraz lepiej organizowanej akcji zbrojnej oporu polskiego. Początkowo są to opisy drobnych, ale jakże ofiarnych aktów sabotażowych w rodzaju wysadzenia mostu kolejowego na Łosinicy, zniszczenia toru kolejowego pod Zwierzyńcem, napadu na stację kolejową Susiec, trąghumorystyczne „wykradzenie“ granatowej policji przez partyzantów i „Wyprawa do pana szefa SS w kolonii Ruszów“, już obsadzonej przez nasłanych z całego świata kolonistów niemieckich po brutalnym usunięciu chłopów polskich. Potem akcja się wzmacnia, rośnie, potężnieje: już lecą w powietrze całe pociągi niemieckie wysadzone dynamitem, a wokół nich wre walka nierówno uzbrojonych przeciwników.

Aż wreszcie szerokie epos bolesne i radosne zarazem o działalności wielkich partii powstańczych, składających się z różnych grup ideowych, z dywersantów Czerwonej Armii i „chłopców z nieba“. Szeroką falą płynie opowieść o dołi i niedoli przedzierających się ze wszystkich stron przez pierścień niemiecki na południe bojowników wolności, ludzi, którzy sami siebie własną wolą wyzwolili ze strachu nikczemnego, bezbronności — i postawili wyżej człowieczeństwo ponad śmierć i rany.

Wartość tych opowiadań nie jest równa pod względem literackim, ale zdumiewa fakt, że niektóre posiadają wyraźne znamiona talentu, a przecież pisali je ludzie nie myślący o artyzmie słowa, tylko o prawdzie przeżyć i faktów.

Koniec pamiętnika starszego strzelca Marka żywo przypomina wstępną scenę „Wiernej rzeki“ Żeromskiego, choć wcale jej nie naśladował. Gdy u Żeromskiego jednak ranny powstaniec Odrowąż, resztką sił wydobyszy się ze stosu poległych, został odtracony pogardą i strachem przez chłopów, tutaj — ciężko ranny, opuszczony w lesie przez cofającą się partię, zostaje pieczołowicie uratowany przez chłopów i skryty od oka wroga.

Koło historii obróciło się o 180°, sprawa Odrowąża nie powtórzyła się, bo w Zamojszczyźnie i w całej Polsce walczył z Niemcem uświadomiony już narodo-wo gospodarz, trzon narodu — chłop polski, współ z żywiołem innych warstw.

Takie oblicze nowej Polski wyziera z kart drugiego tomu „Materiałów do dziejów Zamojszczyzny“, wydrukowanych piękną czcionką, wydanych starannie, z doskonałą korektą, zamiłowaniem bibliofilskim przez dr. Zygmunta Klukowskiego.

Mogą one służyć za wzór, jak należy prace tego rodzaju komponować i okazywać czytelnikom.

DZIEŁA SZTUKI DLA PRENUMERATORÓW

»ZDROJU«

Dwutygodnik „Zdrój“, realizując swe hasło upowszechnienia kultury i sztuki, pragnie umożliwić swym prenumeratorom posiadanie wartościowych dzieł sztuki plastycznej. W tym celu „Zdrój“ zakupił na Wystawie Plastyków w Lublinie 5 obrazów olejnych i pewną ilość drzeworytów do rozlosowania między tych Czytelników, którzy w terminie do dnia 1 kwietnia r. b. wpłacą prenumeratę za II-gi kwartał 1946 r. w sumie zł 39,— na adres: Administracja „Zdroju“, Lublin, ul. Peowiaków 5 m. 13.

Czy złożyłeś już dar na Pomoc Zimową?

MARIA BECHCZYC - RUDNICKA

Z RETUSZEM CZY BEZ RETUSZU?

„Ziemia nieludzka” to sztuka, o której trudno powiedzieć od razu, czy jest dobra, czy zła. Tak bywa zazwyczaj wówczas, gdy utwór, mimo przyznawanych mu zalet, nie bierze, albo raczej utracił swą moc sugestyjną, na zawsze lub chwilowo.

Kariera pisarska de Curela, lansowanego w ostatnich latach w XIX przez znakomitego twórcę Wolnego Teatru Antoine'a, przypada w głównej mierze na pierwsze ćwierćwiecze naszego stulecia. Dramaty jego oparte na podłożu ideowym, zawierają głębokie rozważania aktualnych w owym czasie problemów filozoficznych i moralnych, wypowiedziane w mocnych dialogach przez wielkiego znawcę dusz. „Ziemia nieludzka”, wykończona w r. 1922, kiedy sztuka europejska wyszła już z ostrego zygżaku, jakim się wpisał do rozwojowej linii kultury dekadentyzmu, wyróżnia się spośród innych utworów de Curela większą popularnością poruszanego zagadnienia i prostotą formy. Ale sytuacja jest w niej z tych niezwykle, w których się lubował de Curel.

Rzecz dzieje się w czasie „tamtej” wojny, na tyłach armii niemieckiej. Młoda, pełna powabu kobiecego księżniczka krwi, siostrzenica Wilhelma, przybyła w odwiedziny do męża, oficera wysokiej rangi — bez jego wiedzy i wbrew zakazom. Chwilowo sama, umieszczona na kwaterze u wdowy Parisot, w chłopskim domu na pustkowiu, styka się zaraz po przyjeździe z synem gospodyni, interesującym literatem, ideowym szpiegiem-lotnikiem, który wyładował rano w pobliżu rodzinnej wioski alzackiej, znacząc swe pierwsze kroki trupem niepewnego współziomka. Traf informuje księżniczkę o tym zabójstwie i o roli przybysza. Stąd tragiczna alternatywa: zginie natychmiast ona, albo emisariusz francuski zostanie wydany wraz z matką władzom i nie wykona zleceń misji. Od razu więc skazują siebie wzajemnie na straconie mimo to, że już rozniecił się, że tak powiem, iskra erotyczna.

Niemka i Francuz — walka dwóch patriotyzmów, miłości i obowiązku. Na pierwszy rzut oka konflikt duchowy typu Corneille'owskiego, przeniesiony z Hiszpanii lub starożytnego Rzymu na grunt nowoczesnej Alzacji, jednego z ognisk zapalnych Europy. Ale postacie „Ziemi nieludzkiej” nie mają w sobie nic z klasycznej posągowości, jaką nadawała bohaterom Corneille'a prostolinijność uczuć. Drugorzędne pierwsiatki emocjonalne, towarzyszące u de Curela uczuciom podstawowym, pozbawiają i Niemkę, i Francuzka determinacji heroicznej.

Nawet wdowa Parisot, pragnąca, by na jej grobie był napis: „zginęła za Francję”, a która przecież chciała kiedyś kształcić syna na uniwersytecie strassburskim z myślą, „że go może Niemcy obłąskawiają”, — nie jest z jednej bryły. To tylko tak szczęśliwie dla niej się składa, w sensie moralnym, że uczucie macierzyńskie pozostaje w zgodzie z uczuciami patriotki francuskiej, bo któż wie, w jakim stopniu strzał kładący kres zawiliwemu konfliktom duchowym dwojga przygodnych kochanków — kto powie, w jakim był stopniu strzałem żołnierskim, a nie skrytobójczym wystrzałem matki, pragnącej „służyć przede wszystkim swojemu synowi” — ocalić go od stracenia? De Curel, urodzony w Metz, dobrze znał tragedię Alzackich, „ludzi z tego kruszcu”, tych, co będąc wrośnięci w swój skrawek ziemi, nie wyjechali do Francji po rozgromie roku 70-go i musieli znaleźć modus vivendi za pomocą pewnej dozy oportunistów. Ale ostatecznie finezyjne niuanse psychologiczne de Curela nie są łatwo dostrzegalne i wyprostowanie drogi, jaką podąża wola wdowy Parisot w czasie wojny, nadaje jej postawę bohaterką, która może uczynić tę postać nieskażoną w oczach dzisiejszego widza.

Inaczej ma się sprawa z postaciami Pawła i Wiktorii. Skoro de Curel, wnikliwy psycholog, nie zadowala się nigdy czarno-białą grafiką, jakże barwny da obraz wówczas, gdy będzie chodziło o stan duszy zmagającej się z konfliktem uczuciowym! Jego niezawodna psychoanaliza odsoni wszystko, o czym się dziś nie mówi, „o czym się nawet myśleć nie chce”.

I stanie się dla nas rzeczą jasną, że Wiktoria, księżniczka krwi, nie jest wcale typową Niemką, że jej horyzont myślowy wykracza daleko poza ciasne koło, w jakim są zamknięte przeciętne umysły mieszczek niemieckich, że myśli jej wylamują się nawet z konwencji środowiska kosmopolitycznego, którego jest jednak nieodrodną córką, chociażby wobec dynastycznego podłoża swego patriotyzmu. Wiekowe uprzywilejowanie tego środowiska wynosiło je tak wysoko ponad różnice klasowe, że można przez pomyłkę wziąć za demokratyzm w obcowaniu z ludźmi warstw najniższych to, co jest w istocie tylko pozostałością oświeconego absolutyzmu, który igrał w swoim czasie z ogniem doktryny Rousseau i Woltera.

Pozorna prostota w sposobie życia, niewątpliwa inteligencja i romantyczne marzenie o eksterytorialnej miłości niezawodnie wzbudziłyby w widzu współczucie dla kobiety, którą traf zapędził do potrzebku, —

gdyby się pokazało sztuce de Curela tak, jak była przez niego pomyślana i napisana. I to już uprawnia do twierdzenia, że wystawienie „Ziemi nieludzkiej” jest dziś stanowczo nie na czasie.

Postać księżniczki, psychologicznie wierną, lecz w znacznym stopniu salonową — tylko uwikłaną w niezwykłą sytuację — doskonale zrozumiała i świetnie odtworzyła na premierze w Teatrze Miejskim w Lublinie Gorczyńska, niepotrzebnie podkreślająca na następnych przedstawieniach z monotonną pedanterią, w każdym słowie i geście, prusacki germanizm, poczatkowo subtelnie markowany.

Najbardziej wartościową i interesującą postać matki — patriotki odegrała ze szlachetnym umiarem Frenkiel-Ossowska, nadając jej oblicze, które nasuwa przede wszystkim słowo: dostojność. W trzecim akcie wydobyla artystka szczerze akcenty uczuciowe.

Zupełnie nie udało się autorowi jego beniaminek Pawła, syn wdowy Parisot, niby to chłopskie dziecko, a właściwie „dziwny jegomość”, wytwór psychoanalitycznego smakoszoństwa de Curela. Działalność patriotyczna lotnika oddzielonego od wszystkich rodzajów broni, latającego tylko pod „okiem Bożym”, traci mocno sobiępaństwem. Cierpiął niezmiernie „służąc pod rozkazami przelozonych, których wyższość umyslowa nie ujawniła mu się dostatecznie”. Co do kolegów, podziwiał ich dzielność, ale „mniej cenil rubasznosc ich rozmów i przykrą ich woń”. Skreślono tę wypowiedź przy retuszowaniu tekstu, lecz ogólny skład charakteru pozostaje niezmiennym i przytoczone słowa znakomicie wyjaśniają, dlaczego postać Pawła, która ma być dodatnią, nie wzbudza sympatii widza. Nie może jej wzbudzić również skłonność do paradoksalnego myślenia, poza rozkoszowanie się frazesami w obliczu konieczności zgładzenia kobiety, którą się uwodzi.

Taką postać, o konturach dość zamazanych, miał odtworzyć Antoni Różycki. Zalety gry Różyckiego, celującego w kreowaniu postaci wytwornych i romantycznych sybarytów, są dobrze znane. Mam wrażenie, że czuł się jak w cudzym ubraniu w roli lotnika-partyzanta sypiącego pociski i bomby. Fakt, że postać patriotki-Francuzka wypadła błado w porównaniu do postaci Niemki, uwydatnił jeszcze bardziej niewłaściwość poruszania dziś problemu walki uczucia ogólnoludzkiego z obowiązkiem narodowym.

Wystarczy formalnie obydwu udanych postaci kobiecych, doskonale budowy dramatu — opartego na akcji wewnętrznej — i świetnych dialogów, by twierdzić, że „Ziemia nieludzka” jest sztuką dobrą. Jest dobra, ale nie wzrusza.

Jedną z przyczyn obojętności widza są właśnie błyskotliwe, zbyt literackie, ozdobne dialogi, osłabiające napięcie dramatyczne. Mam na myśli fragmenty zamieniające się w set tenisowy, rozgrywanym przez bawiącą się księżniczkę i zdeklastowanego chłopkiego syna, któremu wykształcenie służy „do publicznych popisów, podczas gdy matka w smutku uprawia ziemie”.

Nie wzrusza sztuka jeszcze dlatego, że sytuacja, w jakiej przedstawił de Curel bohatera, któremu powinniśmy sprzyjać, była podkrotowana nie przez serce, lecz przez umysł analityczny, dążący do rozwiązania oryginalnego zadania psychologicznego. Pociąga go skojarzenie miłości ze śmiercią, wprowadzenie do wiecznej walki, za jaką uważa miłość, czynnika pa-



Antoni Różycki i E. Frenkiel-Ossowska w „Ziemi nieludzkiej” F. de Curela.

triotyzmu. Ale motyw patriotyzmu, zaakcentowany w dialogach, jest, wskutek braku idealizacji, przesiąknięty w znacznym stopniu przejawami strachu i obawy, czyli instynktem samozachowawczym. Interes osobisty Pawła zbyt jaskrawo występuje w przygotowaniach do czynu podkrotowanego przez rację narodową. Trudno oprzeć się wrażeniu, że autorowi chodziło nie tyle o postać patrioty-bohatera, ile o osobliwą odmianę myśliciela-indywidualisty, — i to pozbawia dziś jego sztukę aktualności.

De Curel miał tyle dobrego smaku, że włożył ostatecznie rewolwer do ręki matki kochającej syna i ojczyznę. Dzięki temu najmniej razi sam moment zabójstwa, a postawa chrześcijańska starej Alzacji, dobrowolne przyjęcie śmierci poniekąd jako kary za uśmiercenie bądź co bądź człowieka, zyskują uznanie widza. Natomiast podstępne planowanie egzekucji, dokonywane na trzeźwo przez ten niesamowity sąd polowy, fakt, że skazańcem jest kobieta, której przypadek odkrył niebezpieczną tajemnicę, wreszcie jej osamotnienie, to wszystko wywołuje u publiczności pewne zastrzeżenia, wynikające z człowieczeństwa widza.

Tego rodzaju reakcja jest oczywiście niepożądana, skoro wystawia się sztukę niby to ze względu na „aktualność”.

Ludzie teatru powinni, zdawało by się, najlepiej rozumieć, że utwory odzwierciedlające atmosferę i warunki ściśle związane z określoną epoką nie dają się zaktualizować. Są analogie, które, podkreślając raczej różnice, nasuwają wnioski niewłaściwe z punktu widzenia ideologicznego. My w Polsce wiemy przecie aż nadto dobrze, czym jest ziemia nieludzka w pełnym słowa znaczeniu, — gdzie „tylu ludzi zostawia swe kości, że jeśli człowiek cu-

JÓZEF SWATOŃ

Ludowy Instytut Muzyki

Ludowy Instytut Muzyczny, w skrócie „Lim”, został powołany do życia dnia 13 maja 1945 r. jako komórka Wydziału Oświaty i Kultury przy Zarządzie Głównym Związku Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici” z chwilową siedzibą w Łodzi.

„Lim”, którego twórcą i założycielem jest Józef K. Lasocki, ma na celu rozwój i upowszechnienie kultury muzycznej wśród mas ludowych, zharmonizowanie wysiłków społeczeństwa, zmierzających w tym kierunku, oraz kultywowanie pieśni ludowej z jej tradycjami. Dla osiągnięcia powyższych celów „Lim” organizuje koncerty, audycje, słuchowiska muzyczne w miejscowościach powiatowych, gminnych i większych ośrodkach wiejskich, robotniczych i dla szkół. Postanowiono jechać w teren z muzyką wartościową, na wysokim poziomie artystycznym (tak, jak z książką) z uwzględnieniem stylizowanych pieśni ludowych, ale nie karmić specjalnie nimi wsi, skąd wyszły — raczej miasto, by wyrównać lukę między prymitywem (to, co ma z zakresu muzyki i co wytworzyła sama wieś) a tym, co ma miasto (koncerty poważne i t. p.). Do dnia dzisiejszego zorganizowano 40 koncertów, z czego połowa przypada na ośrodki wiejskie.

Współpracując z Polskim Radio, Kuratorium Szkolnym, z innymi organizacjami i instytucjami, „Lim” zwołuje konkursy, festiwale i zjazdy śpiewacze, jako też ogłasza konkursy na nowe utwory muzyczne. Jeden z pierwszych, większych konkursów śpiewaczych odbędzie się z początkiem maja r. b. w Łodzi. Celem związaną czynnik społeczny z czynnikiem fachowo-muzycznym „Lim” w tej chwili organizuje wspólnie z tamtejszym Wydziałem Kultury i Sztuki „Tydzień Kultury i Sztuki” dla poszczególnych miast i miasteczek województwa łódzkiego, na który złożą się występy zawodowych zespołów dramatycznych, muzycznych, odczyty, konferencje, artykuły odpowiednie w prasie i t. d. W związku z zbliżającym się terminem konkursów i zjazdów muzycznych „Lim” tym bardziej energicznie przystąpił do instryuowania chórów i orkiestr amatorskich.

Dla chętnych a mało zaawansowanych muzyków-amatorów utworzono Centralną Szkołę Umuzyczniającą „Limu”, w której kształci się z górą 700 uczniów. W tej szkole istnieje też t. zw. Wydział Szkoła Społecznych Pracowników Muzycznych, który ma dać w przyszłości gruntownie wykształconych pracowników muzycznych do kierowania amatorskimi zespołami muzycznymi w poszczególnych świetlicach i t. p. Wykłady prowadzi doświadczeni muzycy-pedagogy.

dem się ocali, staje się upiorem”. I tamta „ziemia nieludzka” sprzed blisko trzydziestu laty, ziemia, na której patriotka francuska mogła przemawiać do Niemców na sposób wdowy Parisot, wydaje się nam Arkadią.

Wcale nas nie martwi, że na owej ziemi niemożliwe było sentymentalne kochanie. Wręcz przeciwnie, uznajemy to za słuszne, więc dopóki będzie wzbudzać niesmak właśnie artystyczne, zgodne z prawdą życiową, rozwiązanie problemu miłości kobiety i mężczyzny, należących do wrogich narodów, czyż nie jest wskazane raczej zupełnie unikać tematu tak drażliwego, aniżeli sprowadzać go do prymitywu szablonów propagandowych?

Reżyserski retusz Teatru Miejskiego nie mógł zatuszować tego, co stanowi istotę sztuki de Curela, psychologa par excellence. Wyrządził tylko ciężką krzywdę autorowi, wypaczając jego koncepcję psychologiczną i nadając „Ziemi nieludzkiej” posmak produkcji Grand Guignola, dokąd żądni sensacji ecranerzy przychodzą na porcję dreszczu. Ale na przestrzeni trzech aktów i to zawiodło: sensacja przeskądzała rozważaniem, a rozważaniem sensacji. W wyniku — zdeorientowanie widza i nuda, ten najstraszniejszy upiór teatru.

Decoracje również nie stworzyły atmosfery, w której się wylega uczucie grozy.

Wypada w końcu dać wyraźną odpowiedź na pytanie wysunięte w tytule. Po wiem więc otwarcie: — nie można było wystawić „Ziemi nieludzkiej” bez retuszu, z retuszem wystawiać — nie należało.

Smutek ogarnia na myśl, że sezon się ma ku końcowi, a społeczeństwo wciąż na próżno oczekuje przyobiecanej przez Teatr Miejski w Lublinie planowej realizacji wielkiego repertuaru.

„Lim” przewiduje również krótkotrwałe kursy dla niewykwalifikowanych pracowników muzycznych, których nie stać na przerwę w pracy zawodowej, a którzy chcą dokształcać się, uzupełniać swoje wiadomości, jako też opiekuje się talentami muzycznymi, pochodzącymi z mas ludowych, zapewniając im w miarę możliwości i potrzeby kształcenie w szkołach własnych i innych.

Przy Instytucie istnieje też kurs dla kierowników „Teatru Lalek”, gdzie muzyka ma również duże pole do popisu.

Na terenie województwa łódzkiego „Lim” posiada szkoły muzyczne w Pabianicach, Sieradzu, Zdunskiej Woli, Tomaszowie Mazowieckim, Piotrkowie i Skierzwicach.

Dział wydawniczy „Limu” rozpowszechnia wartościowe i przystępne opracowania pieśni ludowych, utwory kompozytorów polskich i innych, a w szczególności kompozytorów słowiańskich. Niebawem ukaze się „Poradnik Muzyczny”, jako miesięcznik z dodatkiem muzycznym dla kierowników amatorskich zespołów muzycznych.

Echa akcji koncertowej „Limu” w terenie zaczęły docierać coraz dalej, poczęły napływać zapytania i propozycje, by w innych województwach wszcząć akcję Instytutu. Przystąpiono wobec tego do montowania okręgów: warszawskiego i białostockiego. Zainteresowały się tym również miasta: Kraków, Poznań, Katowice i Kielce.

„Lim” jest w tej chwili stowarzyszeniem samodzielnym, ma swój statut uchwalony i zatwierdzony przez władze.

Ministerstwo Kultury i Sztuki subwencjonuje Szkołę Umuzyczniającą i Orkiestrę Symfoniczną „Limu”, ale ponieważ Instytut ma coraz większe trudności finansowe w związku ze swym rozwojem, postanowiono na konferencji w Urzędzie Wojewódzkim w Łodzi stworzyć specjalny Wojewódzki Fundusz Kultury i Sztuki (przez miesięczne opodatkowanie się organizacyji i instytucji), któryby też częściowo pokrywał potrzeby „Limu”.

Okazuje się na podstawie powyższych danych, że „Lim” jest instytucją bardzo żywotną, szybko rozwijającą się i mogącą odegrać w dziele upowszechnienia kultury muzycznej na wsi bardzo doniosłą rolę. Organizacją „Limu”, gdzie on dotychczas nie istnieje, winny zająć się czynniki społeczne, organizacje i instytucje, dbające o podniesienie kultury muzycznej wśród szerszych mas. Twórczy więc i zakładający oddziały Ludowego Instytutu Muzycznego w całym kraju!

Strzępy okupacji

Nie miał racji Aldons Huxley, doradzając złośliwie krytykom, by chwaliли najslabszą część twórczości pisarzy, jeśli pragną zachować ich przyjaźń! Nie mają racji także i ci, którzy starannie omijają stronę najlepszą, wyszukują „pięty Achilleusza”, z rozkoszą sadystyczną biją w niebronione czy słabo bronione pozycje. Postępując w ten sposób, łatwo zdobywają sławę i wpływy, bo (jak mówi Giraudoux w „Impromptu de Paris”) historia zachowała nam tylko pamięć dobrych utworów — i miazdzących krytyk, eliminując zarówno słabe dzieła, jak i trafną ocenę dzieł dobrych. Mimo to uważam za pierwszy i najważniejszy obowiązek krytyka: wskazywanie na to, co ważne, wartościowe i najmocniejsze w dziele pisarza. Kto o tym zapomina, szkodzi sprawie sztuki, a tym samym wyraża krzywdę społeczeństwu.

W niedawno wydanym u S. A. Krzyżanowskiego tomie Witolda Zechentera jest kilka wierszy, które przykuwają uwagę. Są one związane najściślej z dogmatem Polski, przeżytym w latach 1939—1945. Do nich najtrafniej się odnosi skromny, oryginalny i piękny tytuł tomu: „Strzępy okupacji”. Niechaj się otrząsają zwolennicy „ucieczki od tematyki wojennej”, już zbławoniana tymi skromnymi ilościowo próbami ujęcia rzeczywistości wojennej, jakie się u nas zjawiały. Przejrzyjmy listy nowowydanych książek we Francji, w Anglii, w Czechach, w Z. S. R. R., w U. S. A.! Zbadajmy repertuar teatralny tych krajów! Sięgnijmy nawet do recenzji filmowych! Cóż się okaże? Że tematyka wojenna opanaowała wszystkie dziedziny sztuki, że stanowi niewyczerpaną kopalnię doznań, przeżyć, nauk, doświadczeń, wzruszeń, przeobrażeń. Po katastrofie poprzedniej czekano 10 lat na dzieła takie, jak „Kres wędrówek”, „Na zachodzie bez zmian”, „Szwejk” i inne. Ale już przedtem, bezpośrednio po zawieszeniu broni, pojawiły się „Żywoty męczenników” i „Burmistrz Stylmondu”, a w czasie samej walki: „Ogień” i wiersze Apollinaire’a. Wojna obecna była wstrząsem głębszym, sięgnęła w najistotniejsze podstawy naszej etyki, zakwestionowała prawo bezbronnych i niewalczących do uszanowania ich życia, świadomie tępiła chorych w sanatoriach, przekreśliła podstawowe zasady godności, uczciwości, honoru, swobody przekonań, aż wreszcie doprowadziła wszystko do takiego stanu, że siły samozachowawcze ludzkości, skolizowane przeciw hitleryzmowi, zatrzymały świat nieomal w ostatniej sekundzie, nad samą krawędzią przepaści. Trudno sobie wyobrazić indywidualność artystyczną, która wobec takiego kataklizmu („kosmicznego” — jak słusznie mawiał Boy) nie miałaby prawa do rachunku sumienia. Tym bardziej u nas, tym bardziej w Polsce.

Przeczytałem w okresie ostatnich kilku miesięcy kilkaset nowel, nadesłanych na konkurs Związku Zawodowego Literatów w Krakowie. Były tam utwory o nairozmaitszych poziomach artystycznych i pochodzące z różnych warstw, od różnych umysłowości. Wszystkie niemal dotyczyły przeżyć wojennych. A jednak nie było w tym monotonii, nie było szablonu. Każdy prawie z tych utworów pogłębiał wiedzę o krwawych i fantastycznych, o niepowtarzalnych przygodach. Żaden naród nie przeżył tak krwawo tej wojny, jak naród polski, żadne społeczeństwo nie było tak masowo zagrożone w swym istnieniu, żaden kraj tak precyzyjnie nie poznał hitleryzmu. Mimo to pisarze mogą zaledwie ukazać „strzępy” — strzępy okupacji. Jeśli jednak jest w tym błysk prawdy, trudno o lepsze spełnienie zadania. Widzę błysk taki w poemacie Zechentera „Jak Janusz Korczak zawiódł dzieci na wieś” i w 3 krótkich wierszach: „Sztrajfa”, „Oblawa” oraz „W nocy”. Poemat o Korczaku jest już znany; był drukowany w czasopiśmie, recytowany w radio i na porankach literackich. Sam temat już nieraz omawiany: np. w pięknych artykułach Czapskiej w „Tygodniku Powszechnym”, Wiktora, Mortkowicz-Olczakowej. A jednak wiersz Zechentera wywiera wciąż wrażenie; ciągnie nas do ponownej lektury jakaś magiczna siła. Może tajemnica tkwi w niewątpliwym (choć po męsku opanowanym) wzruszeniu autora? Może w formie tak prostej, że aż pokornej, nie si-

lającej się na efekty, a jednak celnej, w rytmach dość nieregularnych, aż czasem przechodzących w swobodnie brzmiące asonanse? Może szukać trzeba siły tego wiersza w tajemnicy uroku dziecięcego, który najwyraźniej porusza najczulsze strony twórczości Zechentera? (Kilkakrotnie na stronicach tego tomu dedykuje wiersze swej córceczce). I z tą właśnie sprawą wiąże się także wielkość i bohaterstwo Korczaka, tutaj doskonale oddane. Jakże to trudna sprawa: odsłonić rąbek tajemnicy, kryjącej sploty psychologiczne bohaterstwa i poświęcenia. Nieczęsto udaje się to pisarzom. Znow wracam do konkursu nowelistycznego krakowskiego Związku Literatów. Nagrodzone tu zostało m. in. opowiadanie p. t. „Dwadzieścia cztery godziny śmierci” Jerzego Pytlakowskiego. Bohater tej wspaniałej (nie waham się użyć tego słowa!) opowieści, por. Wiktor, spełnia do ostatka heroiczny swój obowiązek, nie wydaje nikogo, choć załamuje się fizycznie, choć jest już pod koniec strasznego śledztwa w gestapo zaledwie strzępem człowieka. U Zechentera Janusz Korczak idzie dobrowolnie na śmierć z wychowywanymi przez siebie sierotami, bo po prostu nie wyobraża sobie życia bez nich. A także wie, że bez jego kierownictwa nie zaoszczędzono by dzieciom katuszy strachu i przedśmiertnego dreszczu. Czytałem niedawno wiersz francuskiego poety Max Jacoba, który zginął z rąk niemieckich. Wiersz opowiada o żydzie, który, idąc ulicami Paryża z żółtą łatą na plecach, zazdrości najniebezpieczniejszemu kalece, wlokącemu nogi po bruku. Wiersz jest wzruszający i wspaniale napisany. Ale „Korczak” Zechentera przejmuję mnie silniej, jest sympatyczniejszy, bardziej ludzki. Myślę, że ten wiersz pozostanie — jako dokument, jako symbol. I chociaż Witold Zechenter na ogół daleki jest od religijności, czuję w nim na wpół świadomy rytm ducha chrześcijańskiego.

Niespodziewane odkrycie nasuwają trzy krótkie poemaciki, które przytoczyłem wyżej: „Sztrajfa”, „Oblawa” i „W nocy”. Zwięzłość, lakoniczność, oszczędność nasuwa niemal myśl o wierszach awangardowych, których Zechenter teoretycznie nie lubi, od których się odgradza. Przyznaję, że mój pogląd na poezję kształtował się właśnie na teoriach nowatorskich, tym bardziej cieszy mnie to zbliżenie — niespodziewane — opornego Awangardzie poety. Oto „Sztrajfa”:

Idzie ich trzech —
rytmicznie dudni krok pomolny.
Spojrzeniem przenikam zmierzch:
cicha ulica, pusty chodnik.
Trzeba naprzód śmiało, spokojnie,
z obojętnymi oczyma...
W sercu ukłucie krwi:
zatrzyma mnie — czy nie zatrzyma —

Czy można tutaj coś dodać lub ująć? Napewno nie. Może właśnie dzięki tej kondensacji nie zapominamy nigdy owego obrazu aż do tego ukłucia serca, wskutek którego odpywa krew, aż do tej bladeści, którą odgadłby każdy przechodzień Polak, ale której na pewno nie dostrzegli Niemiec-zy żandarmi...
Inne wiersze tomu Zechentera nie sprawiają już takiego wrażenia. Zwłaszcza nie przekonują poetkijj atak na „poetów emigracji”, zbyt ostry i krzywdzący generalny. Trudno co prawda zaprzeczyć, że wojna obnażyła słabe strony poezji Tuwima („żenującej”, jak się wyraził Kazimierz Wyka, i artystycznie wadliwej, jak w „Dzienniku Polskim” wykazała Helena Wielowieyska). Ale za to imponuje dorobek poetkijj Jasnorzewskiej, Balińskiego, Broniewskiego, Czuchnowskiego i — mimo wielu pozycji nieudanych — Słomińskiego.

Zdaje się, że Zechentera poniósł tu zmyśl satyryczny. Bo poeta ten ma pierwszorzędny (i u nas niedoceniony) dowcip, humor nieco gorzki, ale dużej klasy, błyskotliwą zdolność obserwacji ironiczej. Złośliwość dyktuje czasem Zechenterowi słowa zbyt ostre, nawet w essayach poważnych. To sprawia, że opinia literacka nie docenia go w najmocniejszych jego domenach. Szkoda, że Zechenter nie uzupełnił swego tomu utworami satyrycznymi. Czy bał się osłabić jednolitość tomu?

Myślę, że byłaby to obawa nieluzna.

Rok niepodległej kultury w Krakowie

Dzień 18 stycznia 1945 roku, dzień oswobodzenia Krakowa spod okupacji hitlerowskiej, stał się także dla kultury krakowskiej dniem odzyskania wolności. „Wychodzimy z podziemi” — powiedział trafnie Jan Wiktor jako przewodniczący pierwszego w oswobodzonym Krakowie zebrania literatów. Kultura polska wyszła z podziemi, z konspiracji na wolne i swobodne życie, do niepodległego rozwoju.

Rok dzielący nas od oswobodzenia zaznaczył się w Krakowie wielkim rytmem życia kulturalnego, tym więcej, że do pracy stanęli nie tylko artyści krakowscy, ale wielkie rzesze artystów z innych środowisk polskich, którzy, przygnani wojną do Krakowa, w nim pozostali.

W pierwszych dniach po oswobodzeniu ukonstytuowały się związki zawodowe pracowników kultury, przystępując z miejsca do pracy. Pierwszym bodaj był Związek Zawodowy Literatów Polskich, który zaczął działać pod prezesurą K. Czachowskiego. Obecnie związek ten liczy 131 członków, prezesem jest A. Andrzejewski. Związek ma na koncie zasługę urządzenie kilkudziesięciu imprez w Krakowie i na prowincji, urządza wieczory literackie dla robotników i wsi. Żywotny zarząd prowadzi też agendy pomocy dla członków. Kraków był również siedzibą pierwszego walnego zebrania pisarzy z całej Polski, na którym powzięto wiele uchwał wytyczających drogę literaturze polskiej i jej twórcom.

Związek Zawodowy Dziennikarzy R. P. zrekonstruował się po okupacji pod prezesurą F. Łęskiego. Liczy około 70 członków. Członkowie oddziału krakowskiego pracują w prasie miejscowej, którą reprezentuje „Dziennik Polski”, „Naprzód”, „Głos Prawdy”, „Orka”, agencja PAP, tygodniki „Odrodzenie”, „Tygodnik Powszechny”, „Przekrój”, „Start”, dwutygodnik „Świetlica Krakowska”, „Ruch muzyczny”, miesięcznik „Twórczość” i „Nauka i Sztuka”. W piśmie tych pracują wspólnie dziennikarze i literaci. Warto tu podkreślić, że pierwsze po oswobodzeniu pismo w Krakowie „Dziennik Krakowski”, przemianowany następnie po dniach dziesięciu na „Dziennik Polski”, został w pierwszych dniach wolności uruchomiony przez grupę literatów i dziennikarzy (pierwszy numer wyszedł z datą 25.1.).

Związek Zawodowy Plastyków pod prezesurą C. Rzepińskiego liczy 560 czynnych członków i poza agendami pomocy dla członków prowadzi szeroko zakrojoną akcję kulturalną. Związek urządził kilkanaście wystaw w Krakowie, z których najważniejsze były: wystawa prac ofiar terroru hitlerowskiego, pierwsza wystawa malarstwa i rzeźby w Pałacu Sztuki, wystawa „Polonia”, wystawa Niezależnych, wystawa Mehoffera i Książka, wystawa Boznańskiej. Ponadto związek przesyła i urządza wystawy w innych miastach, jak Łódź, Poznań, Wrocław, Radom i mniejsze miasta prowincjonalne.

Muzycy ukonstytuowali się w związku zawodowym liczącym 1128 członków pod prezesurą A. Rygięra. Reprezentacyjnym organem szerzenia kultury muzycznej jest najlepsza dzisiaj w Polsce orkiestra krakowskiej Filharmonii Państwowej, pod dyrykcją J. Maklakiewicza, która koncertuje stale dwa razy w tygodniu. Związek Mu-

zyków, poza licznymi występami indywidualnymi swoich członków, urządza koncerty, które organizuje biuro koncertowe Związku, a spośród których warto wymienić koncert na Wawelu na dochód odbudowy zamku, koncerty z udziałem artystów tej miary co Bandrowska-Turska, Drzewiecki, Calma, Ekier, Sztopka. Duży nacisk położony jest na wykonywanie utworów młodych kompozytorów polskich oraz na muzyczne kształcenie młodzieży, dla której urządzono 9 koncertów specjalnych z prelekcjami, przy uczestnictwie około 12 tysięcy młodocianych słuchaczy. Zasadniczy udział wzięli Związki w Festiwalu polskiej muzyki współczesnej, jaki odbył się w Krakowie jesienią. Związek zorganizował wydawnictwo muzyczne, zatrudniając cały sztab kopistów, oraz bierze silny udział w szkolnictwie muzycznym. Na czele Państwowego Konserwatorium stoi rektor Z. Drzewiecki.

Artyści dramatyczni zrzeszeni w Związku Artystów Scen Polskich wykazują bodaj największą ruchliwość, gdy chodzi o pomoc społeczną nie tylko dla siebie, ale na najróżniejsze szlachetne cele. ZASP liczy blisko 500 członków, a jego „Gospoda Artystów” stała się najpopularniejszym lokalem rozrywkowym Krakowa. Pod prezesurą W. Biegańskiego, obecnie E. Chaberskiego, krakowski ZASP wykazał wielką energię w regulowaniu spraw aktorstwa polskiego i w akcjach podnoszących poziom i wiodących ku szkoleniu przyszłych aktorów. Życie teatralne Krakowa jest niezwykle bujne. Stale grają teatry: Miejski im. J. Słowackiego pod dyr. K. Frycza, Stary pod dyr. A. Pronaszki (poprzednio J. Ronarda-Bujańskiego), Kameralny TUR pod dyr. Wielopolskiego, Powszechny pod dyr. K. Adwentowicza, Rapsodyczny pod dyr. Kotlarczyka, Kolejarza Polskiego oraz sporadycznie Teatry: Wesoła Gromadka pod dyr. M. Biliżanki, Robotniczy im. I. Fika i Akademicki „Reduta”. Trudności finansowe zwyciężyły najmilszy i wysoce artystyczny Teatr Lalki i Aktora „Groteska” pod dyr. Jaremy, który ostatnio zniknął z życia kulturalnego Krakowa ku wielkiej dla życia teatru szkodzi. Wymienić tu należy Teatr Polskiego Radia dający przedstawienia przed mikrofonem pod dyr. J. Ronarda-Bujańskiego.

Krakowska stacja Polskiego Radia pod dyr. por. Szora poświęca wiele miejsca w programie literaturze i muzyce, stanowiąc jedno z wybitnych ogniw życia kulturalnego Krakowa.

W końcu kino. W Krakowie jest ekranów dziewięć, które dzielają na razie los wszystkich kin w Polsce, wyświetlając dość bezradnie stare, zużyte taśmy, poza nowymi radzieckimi i nie mając na razie kontaktu ze sztuką zachodnią. Ale sądzimy, że w r. b. coś zmieni się nareszcie i ruszy dosyć mityczna Kinofikacja. Pracownicy jej w Krakowie zorganizowani są w związek, dbający wysoce żywotnie o pomoc społeczną dla swych członków.

Oto rys życia kultury w Krakowie w roku dzielącym nas od oswobodzenia. Dodać by tu trzeba indywidualne osiągnięcia wielu ludzi kultury, jak n. p. liczne wydawnictwa książkowe, ruch księgarski prowadzony przez Sp. Wyd. „Czytelnik” i firmy S. A. Krzyżanowski, Gebethner i Wolff, Stefan Kamiński, Gieszczykiewicz, „Przełom” i in., imprezy w Domu Kultury, zasileanie przez kadry zawodowców licznych imprez młodzieżowych i t. d. Nie poddając krytyce danych osiągnięć — n. p. miernych osiągnięć teatrów krakowskich, które przeważnie powtarzają stare sztuki, nieraz takie, które nie powinny się na scenie ukazać, dbając za mało, prawie nic, o podawanie repertuaru współczesnego opartego o polskie papremiery (takich przez cały rok było trzy!), — sumując jedynie wybitnie pulsujący życiem nurt kultury w Krakowie, musimy podkreślić, że jest on żywotny i różnobarwny. Na podłożu tego pierwszego roku kultura krakowska niewątpliwie wystartuje do szerszych osiągnięć, więcej związanych z potrzebami chwili i obowiązkami, jakie przed nią stanęły w odrodzonej Polsce.

JERZY JESIONOWSKI

PROŚBA ŻOŁNIERZA

*A jeśli padną gdzieś po drodze
przed końcem —
nie chowajcie mnie, koledzy, do grobu*

*Lecz pogrzebcie mnie stojąco,
jak w marszu —
bym mógł z wami na zwycięstwa
iść dalsze...*

*I karabin mój wciśnijcie mi
w dłoń,
bym, gdy Berlin zdobędziecie,
sprezentować mógł
broń!!!*

IRENA WOYDYGOWSKA

ZAMOŚĆ — MIASTO PAMIĄTEK

Do najpiękniejszych i szczególnie godnych zwiedzenia miast Lubelszczyzny należy bezsprzecznie Zamość. Piękno tego miasta wypływa z jego zabytkowego charakteru, jednolitości architektonicznej i nieprzpartego uroku, jakim tchną sędziwe kamienice. Sercem miasta jest Stary Rynek, otoczony wieńcem zabytkowych kamienic, nad którymi króluje wyniosły gmach ratusza. Zamość sprawia wrażenie ogromnego muzeum, wspaniałego dzieła sztuki renesansowej. Fasady kamienic zwracają uwagę szlachetną prostotą ornamentacji, a portale i obramienia okienne zachwycają artystycznym wykonaniem.

Szcześliwy los uchronił miasto od większych zniszczeń i Zamość, nawiązując do starych tradycji, jest nadal siedzibą Sztuki i Piękna. Atmosfera miasta sprzyja rozwojowi zarówno Teatru Ziemi Zamojskiej, jak i Szkoły Sztuk Plastycznych, której dyrekcja podjęła się także zadania popularyzacji plastyki wśród społeczeństwa, urządzając cykl stałych odczytów na tematy związane z zagadnieniem ewolucji sztuk pięknych i ich funkcji społecznej oraz omawiające aktualne problemy estetyki życia codziennego.

Chlubą miasta jest regionalne Muzeum Ziemi Zamojskiej, którego kustoszem jest Wł. Kabat. Kamienica ormiańska z 1634 r., w której umieszczono pamiątki, jest pięknym zabytkiem architektury renesansowej. Dzięki subwencji Zarządu Miejskiego odrestaurowano i przywrócono do dawnego stanu drewniane stropy, zdobione motywami roślinnymi, portale i obramienia okienne oraz resztki fryzów. Liczne eksponaty ugrupowane są działami w formie wystawowej. Obecny stan zbiorów zgromadzony jest w siedmiu działach. Dział pierwszy poświęcony wykopaliskom archeologicznym Ziemi Zamojskiej obejmuje urny, kamienne młoty, żarna, krzemienne toporki, ostrza do dzid i t. p.

W dziale historycznym znajdują się herby miasta Zamościa, którego opiekunem jest św. Tomasz, podobizny hetmana Jana Zamojskiego, zabytkowe druki zamojskie, reprodukcje obrazów Matejki, stara broń oraz narzędzia tortur z okresu okupacji, znalezione w Rotundzie, miejscu masowych straceń Polaków.

Dział sztuki reprezentowany jest przez obrazy olejne, rzeźby i płaskorzeźby.

Duże zainteresowanie wzbudza dział ludoznawczy, zachwycający oryginalnością strojów regionalnych, barwnością różg i stroików weselnych, pięknem bogatego zbioru ceramiki ludowej z okolic Szczep



Zamość

Muzeum Miejskie

brzeszyna, Bidaczowa, Pawłowa i Łążka oraz licznymi dziełami sztuki ludowej w postaci kapliczek i świątków.

Osobną grupę stanowią eksponaty z zakresu rzemiosła i przemysłu ludowego. Są to: deski do drukowania płócien samodzielnym, zbiór kafli i komplety narzędzi rzemieślniczych oraz warsztat rękodzielniczy.

Największy liczebnie zbiór stanowi dział przyrodniczy, który obejmuje bogatą kolekcję motyli, uszkodzonych leśnych oraz preparaty ptactwa błotnego owadożerzego, drapieżnego, gryzoni, płazów, skamienialiny kości mamuta i zbiór okazów mineralogicznych.

Wędrując po pełnym nastroju Muzeum Ziemi Zamojskiej, oglądamy wystawę okresową zorganizowaną pod hasłem „Zamość w sztuce”, zawierającą obrazy olejne i akwarele z widokami okolic i zabytków architektonicznych Zamościa i całej Zamojszczyzny.

Obecnie przygotowuje się nową wystawę, która zgromadzi druki i pisma z okresu okupacyjnego

folkloru polskiego. Jeśli stoi dziś na czele zespołu mocno uszczuplonego i niedobranego, o ile chodzi o tancerki — bo „urbanistyczna”, że tak powiem, nowoczesność Glinkówny nie daje się nagiąć do prymitywu ludowego — uważamy to za skutek przejściowych niedomagań świata artystycznego. I wierzymy, że Feliks Parnell, twórca Baletu Polskiego, który obwoził to miano po obcych krajach jak hasło, potrafi skupić przy sobie, gdy minie gorączka banknotu, najlepsze nasze siły baletowe, potrafi wykształcić nowe kadry taneczne.

Grupa baletowa M. Kopińskiego, składająca się z tancerzy i tancerek utalentowanych, wznosi się dopiero do poziomu, do którego się obniżył chwilowo zespół Parnella. Brak jej przede wszystkim fachowego kierownictwa zdolnego i wykształconego choreografa, co się ujawnia najwyraźniej w beznadziejnym chaosie kompozycji do 6-tej Rapsodii Liszta, w takim nonsensie choreograficznym „spod cienistej klukwy”, jak stylizowany niby to taniec rosyjski, i w pozbawionym charakteru Taborze cygańskim. Nie tykam „Buddy” z obawy, aby mnie nie ukamienowali liczni miłośnicy „fantazji wschodnich”, ale już „Wariacji klasycznej” — tej rapsodii odtańczonej na serio — nikt chyba bronić nie będzie!

Natomiast doskonałą kompozycją, konsekwentnie przemyślaną w najdrobniejszym szczególe jest uroczy obrazek „Dzwonek szkolny wzywa”. Dużo animuszu mają Chłopski mazur i Taniec łowicki, pomysłowości i wyrazu — Tańce góralskie. Wysockiej klasy było wykonanie fragmentu „Co-

pellii” Delibes'a przez Barbarę Karczmarewic, prymabalerynę Opery Warszawskiej. Jest to obecnie najlepsza w Polsce przedstawicielka baletu klasycznego. „Spotkanie karnawałowe” naprowadza na myśl, że dobra „klasyczka” mogłaby być w przyszłości z Kozalkówny. Na odwrót temperament artystyczny Niny Nowakówny przemawia ją do żywiołowych tańców ludowych i nasyconych zmysłowością tang. Zalety Kopińskiego są znane jeszcze z czasów przedwojennego Baletu warszawskiego, a Edmund Nowak, młody, bardzo obiecujący, tancerz, wykazuje doskonale już opanowanie środków technicznych, lekkość, zwinność, inspirację dynamiczną.

Ileokroć ujrzę w programie słowa „muzyka Szopena”, oczekuję zawsze z przy-

kreścią, że pokażą jakąś pantomimę, jakiś „sujet” na tle utworu szopenowskiego, — że będzie tylko tempo i rytm bez wewnętrznej treści dźwięków, podczas gdy taniec taki winien być opowieścią o najgłębszym głębinach ducha, tworząc nieskończoną gamę nastrojów. Walc w natchnionym wykonaniu Karczmarewiczówny, oparty na wirtuozerii klasycznej, stworzył wizję czystą, oderwaną od tematu, która była radosną niespodzianką. I jednak lepiej unikać interpretacji Szopena w bigoskach rewiiowych, jakimi są obecnie objadane programy baletowe. Szopen wymaga skupienia prawie religijnego. Czyż nie należy więc poczekać na wielkich wtajemniczonych, którzy oddadzą mu, jak Izadora Duncan, całą duszę? M. B.-R.

NOWE KSIĄŻKI

Jerzy Andrzejewski „Noc”. Wyd. „Czytelnika”.

Wydany przed wojną „Ład serca” postawił Jerzego Andrzejewskiego w rzędzie znanych i uznanych pisarzy. Młodemu autorowi rokowano wówczas wielkie nadzieje. Często porównywano go do francuskiego autora „Kłębowska żmij” Mauriac'a.

Nadzieje te były zresztą najzupelniej uzasadnione. Potwierdzeniem tego jest choćby nowa książka J. Andrzejewskiego p. t. „Noc”. Tematem „Nocy” jest wojna, bestialstwa okupanta w tragicznych dniach wrześniowych, w Oświęcimiu oraz w plannej stolicy.

Tom rozpoczyna nowela p. t. „Przed sądem”, w której autor zajmuje się analizą strachu przed nieuniknioną śmiercią, jaka czeka leśnika po odkroceniu przez oddział niemiecki na terenie domostwa broni pozostawionej przez żołnierzy polskich. Strach doprowadza oskarżonego do ostatecznej podłości. Leśnik, chcąc ratować własne życie, wydaje niewinnego nauczyciela wiejskiego w ręce oprawców. Gina obaj.

„Apel” nosi charakter dobrze napisanego reportażu z oświęcimskiej kaźni. Przekrój życia obozu jest naprawdę wstrząsający. Ludzie ginący w tym piekle są nam bliscy i drodzy. Dlatego „Apel” wzrusza i przejmuje do głębi.

„Noc” zamyka „Warszawianka”.

St. Boy - Żeleński „Znasz-li ten kraj”. Wyd. „Czytelnika”.

Dobrze się stało, że firma „Czytelnik” ponownie wydała tę najpiękniejszą z książek nieodżałowanego St. Boya-Żeleńskiego. Należy ona bowiem do rzędu tych dzieł, do których nie tylko się wraca, ale które się kocha. Kraków z okresu „Młodej Polski” wraz z czarem niezapomnianej cygarii wwiąz urzeka czytelnika, równie silnie jak przed laty, chociaż dzisiaj inaczej już patrzamy na sztukę.

J. Brzechwa i J. Minkiewicz „Szopka polityczna”.

Notujemy ukazanie się „Szopki” pióra spółki autorskiej: J. Brzechwy i J. Minkiewicza. Humor „Szopki” jest szczery, ostry i śmiały. Sylwety, narysowane paru pociągnięciami utalentowanego karykaturzysty słowa, są wzięte bezpośrednio z obserwacji i dlatego żyją.

Geza Gordony „Chłopska dziewczyna”. Wyd. Księgarni Wł. Wilaka, Poznań.

Geza Gordony należy bezsprzecznie do grona najwybitniejszych pisarzy węgierskich. Spędziwszy wiele lat życia na wsi, rozumiał, jak może nikt przed nim, duszę węgierskiego chłopca. Jemu też poświęcił większość swych dzieł.

Do najlepszych książek autora „Niewiedzialnego człowieka” należy powieść p. t. „Moja wieś”. Wyjątkiem z tego właśnie dzieła jest opowiadanie p. t. „Chłopska dziewczyna”.

W „Chłopskiej dziewczynie” maluje Geza Gordony dzieje miłości nauczyciela wiejskiego i prostej, gospodarskiej dziewczyny. Dziewczyna kocha, gdy tymczasem dla „pana” jest to tylko jeszcze jedna przygodka. Juli skrzywdzona wychodzi za mąż za chłopca, jak jej „było pisane”. Nauczyciel rusza w świat.

Opowiadanie pisane w sposób szczery, bezpośredni często przypomina „Sobola i pannę” J. Weysenhoffa. Tu i tam spotykamy się nie tylko z podobną fabułą, ale i takimże tłem oraz z tą samą metodą wplatania losów bohaterów w nurt życia bujnej, dzikiej przyrody.

Szkoda tylko, że tłumacz T. Fangrat nie dał nam całej „Mojej wsi”, lecz jedynie jej wycinek. Tłumaczenie b. dobre.

Wacław Rogowicz „Topór faszystu nad głową Europy”.

Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazała się broszura Wacława Rogowicza p. t. „Topór faszystu nad głową Europy”. Część podanego materiału drukował autor w wydawnictwie podziemnym. Całość uzupełniają uwagi nowe, stworzone już w wolnej Polsce.

Wacław Rogowicz w bardzo przystępnej formie przedstawia dzieje faszystwu i hitleryzmu, podkreślając złowrogą, lucyferyczną siłę rozkładową mussolinizmu i hitleryzmu.

J. N. K.

„OCALENIE”

Czesław Miłosz, „Żagarysta” wileński, jeden z czołowych przedstawicieli „awangardy” poetyckiej w Polsce, przemówił w nowym tomie „Ocalenie” innym językiem. Horyzont myśli poetyckiej Miłosza obejmujący szeroko całokształt życia społecznego, docierający do rdzenia istotnych sprężyn poruszających życie na ziemi, chwytła na gorącym uczynku fragmenty rzeczywistości, unieruchamia życie dla poetyckiego rozpatrzenia się w interpretacji. Miłosz świadomie rezygnuje z nastawienia przedwojennej liryki wobec swoich zadań społecznych, obiecującej wiele nowych przeżyć, w gruncie rzeczy grzeszących nadmiarem estetyzmu, warunkującego rację i uzasadnienie walorów awangardowej poetyki.

W „Przedmowie” do „Ocalenia” wypowiada autor „credo” własne, przemiany i nowego poglądu na świat i rzeczy ludzkie. Wstrząs wojenny eksplozją bomb i krwi świeżych ran wyniosł poetę na wyżyny będące ponad zwykłe „dzianie się” patetycznych dni. „Czym jest poezja, która nie ocala narodów ani ludzi? Wspólnictwem urzędowych kłamstw, piosenką pijaków, którym za chwilę ktoś poderżnie gardła, czytanką z panińskiego pokoju. To, że późno pojąłem jej wybawczy cel, to jest i tylko to jest ocalenie”. Jaśniej chyba nie trzeba.

Miłosz nawiązuje do roli poezji romantycznej. A umie być konsekwentny. Przetwarzając rzeczywistość przedmiotową dla rezultatów artystycznych, stwarza słowo proste, spokojne, ale syntetyczne, ale ważne. Łączy się w jego poezji ekonomia słowa, wyczuwalność realnego kształtu materii z metodą niedomówienia charakteryzującą sztukę fantastyczną. Jest to punkt zetknięcia się Miłosza z romantyzmem w sensie organizacji poetyckiego tworzywa w strukturę nowej techniki pisarskiej. („Ledwo usypiasz, już przy tobie staje Elf mały, z baśni zimowej norweskiej, A wtedy miga niby baj po ścianie Plomyk niebieski”. — Tak wygląda próba fantazjowania. Miłosz nie chce rezygnować z systemy i pointy słowa poetyckiego „awangardy” przedwojennej, z wizji i melodii dokonywanej trafnym pociągnięciem zespołu słownego w strofe, umiejmniętym rozłożeniem sił onomatopiecznych i fonicznych jak u Czechowicza. Chce stwarzać nowe uczucia jak Przybysz, ale nie bezpośrednio działaniem zewnętrznej formy słowa poetyckiego, lecz w pierw jego znaczeniem, później zaś jego sytuacją. Nawiązuje więc do metody budowania organizmu wierszowego zaczynającego się od ekspozycji utworu, a kończącego się na pójncie, będącej akordem moralnego czy filozoficznego wyznania poety. Język to dojrzały do roli społecznika-poety, obrazowy ale i potoczny. Gdzie się kończy wyrafinowanie zdobyczy „awangardowej”, a zaczyna prostota, trudno odgadnąć. Granica to jest nieuchwytna i tajemnicza. Zbiór poezji Miłosza jest poprzedzony poetycką przemową i składa się z 7 części. W cz. I „Juwenilia” czujemy jeszcze puls dziejów awangardowych. W innych częściach myśli i przeżycia rzuca autor w pejzaż, przenosi niejako siebie w świat nie będący nim samym, ładuje otoczenie emocjonalnym nabojem swojej psychiki, wspomina albo przeżywa nowe kształty rzeczywistości. Przewija się pomiędzy tymi drobnymi utworami nuta społecznego obowiązku, troska o sprawiedliwość, o bliźnich, o dobrobyt. Z dużą dozą ekspresji wypowiada się autor na tematy społeczne, spowiada się z przeżyć osobistych, nieraz jakby intymnych. Miłosz robi wrażenie człowieka, który odkrył swoje „miejsce na ziemi” i nie tylko na ziemi. Jego tradycjonalna wersyfikacja układa się w rytmi klasycznej zwrotki, zakończoną „węglem” rymu przeważnie pełnego, umieszczoną w odpowiedniej od siebie odległości. Mówi o treści „Ocalenia” pomijając formę artystyczną i mówi o formie artystycznej „Ocalenia” bez jej treści — nie można. Treść i forma jest mocnym zwartym kształtem poetyckim. Jest to przykład dla młodzieży poetyckiej prawdziwego dzieła sztuki. Tu leży przyczyna sugestywności, spełniającej rolę, jaką wyznaczał poeta. Jest to pozycja nie licząca w dotychczasowym dorobku poetyckim naszej nowej epoki.

J. N.

Dwa balety polskie

Kiedy przyjechał do Lublina na początku stycznia zespół Feliksa Parnella, okazało się niespodziewanie, że miasto to jest Eldoradem dla artystów baletu, że można nawet jeszcze podwyższyć na następne przedstawienia całkiem już niedemokratyczne ceny. Odkrycie to zdopingowało popularnego basa Łuczaję do sprowadzenia zespołu tanecznego M. Kopińskiego.

Dlaczego śpiewak zajął się nagle baletem?

Jest to jedna z tajemnic zagadkowych czasów. Dość, że przybył do Lublina drugi zespół baletowy wkrótce po pierwszym i miał też w ciągu sześciu wieczorów pełną salę w Teatrze Miejskim, i ludzie zaczęli naturalnie porównywać te dwa tak odległe od siebie hierarchicznie przedsięwzięcia artystyczne. Bo przecież obydwaj balety nazywają się „polskimi”, obydwaj mają ładne kostiumy, dobrych tancerzy, a skądinąd dotyczyły się tu z Krakowa echa jakiejś sadystrycznej krytyki, która nie została na Parnellu suchej nitki. Więc który zespół jest lepszy?

Różnica między Polskim Baletem Parnella a Polskim Baletem M. Kopińskiego zaczyna się już od treści samej nazwy i polega na tym, że balet Parnella jeździł dookoła świata z tańcem polskim, a balet M. Kopińskiego wędruje po Polsce z tańcem „dookoła świata”.

Parnell to wielka firma. Nie wolno zapominać o tym, jak dobrze się zasłużył sztuce narodowej, sięgając po tematykę do obrzędowości naszego ludu, tworząc nowy styl pantomimy tanecznej i roztańczając wreszcie przed zdumioną Europą bogactwa

